# Oświecona zakonnica w niełaskawych czasach. Sor Juana Ines de la Cruz.




**Florian Śmieja**

W ocenie artysty dzieło jest najważniejsze, niemniej niejedno

osiągnięcie staje się dopiero wtedy zrozumiałe lub choćby bardziej jasne, jeśli poznamy życie twórcy oraz epokę, w której mu żyć wypadło. Tak jest na pewno w przypadku siedemnastowiecznej poetki meksykańskiej sor Juany Ines de la Cruz. Koleje życia urodziwej i nadzwyczaj utalentowanej młodej kobiety, która schroniła się w klasztorze, aby poświęcić się pasji literackiej i intelektualnej, a następnie poniechała obu i zmarła na chorobę zakaźną posługując ofiarom epidemii, nie przestaje intrygować naukowców i biografów. Zajmują się oni tą fascynującą postacią od trzystu lat, a ostatnie dekady i okrągła rocznica śmierci poetki przyniosły szczególnie obfity plon publikacji bulwersujących tak historyków, jak prostego czytelnika. Prace te usiłują dać odpowiedź na wiele pytań, które nie znalazły zadowalającego wytłumaczenia w dotychczasowych badaniach.

Biografie siostry Juany Inesy są liczne i prezentują cały wachlarz poglądów różnych autorów w kwestii zagadki jej życia. Z grubsza można tu wyróżnić dwa zasadnicze stanowiska. Zwolennicy pierwszego z nich podjęli próby hagiograficzne: usiłowania przedstawienia protagonistki jako osoby wyrzekającej się świata i światowego trybu życia, aby pójść drogą świętości. Inni natomiast widzą w postaci sor Juany przypadek neurozy. Obie strony powołują się na jej pisma, znajdując w nich znaki rozpoznawcze obu postaw.

Chociaż biografie twórców wyjaśniają wiele, ich dzieła mają, jak już zauważyliśmy, suwerenne jestestwo i kształtowane są nie tylko przez osobowość autora i jego egzystencję, ale też przez tradycję i smak czasów, w których powstały. Indywidualność talentu współgra zazwyczaj z sytuacją społeczną i z duchem epoki, budzi większe lub mniejsze zaangażowanie odbiorców, ściąga na siebie łaskę lub niełaskę władzy. Sor Juana Ines toczyła grę o wielką stawkę, o przywilej niemilczenia w obliczu wszechwładnej ortodoksji, która nie dopuszczała do głosu nowych, niebezpiecznych dla niej idei.

Próby ustalenia szczegółów dotyczących narodzin poetki najeżone są trudnościami. Jest wielce prawdopodobne, że przyszła ona na świat w roku 1648, ponieważ w księdze chrztów parafii, do której należała jej rodzinna miejscowość  San Miguel Nepantla, jest zapis, że 2 grudnia 1648 roku ochrzczona został Ines, córka Kościoła, a rodzicami chrzestnymi byli brat i siostra matki, Miguel i Beatriz Ramirez. Była trzecią z kolei nieślubną córką Izabelli Ramirez de Santillana oraz niejakiego Pedra Manuela de Asbaje, o którym milczą źródła. Sądząc po losach wszystkich trzech sióstr, nieślubnemu potomstwu społeczeństwo meksykańskie nie stawiało wówczas szczególnych życiowych barier. Liberalizm w kwestiach płci spotykał się z tolerancją, przymykano oczy na swobodę obyczajową, jak długo zachowywana była ortodoksja religijna. W Meksyku, jak w innych krajach europejskich, również panowała barokowa dychotomia

używania i ascezy.




Sor Juana Ines de la Cruz

Bardzo niewiele wiemy o dzieciństwie Juany Inesy. Pewnym źródłem jest jedynie napisany przez nią do biskupa Puebli list, w którym wspomina, że cechował ją duch żywy i skory do zabawy. Niemniej okruchy jej dziecięcej biografii scalają się w pewien

spójny obraz. Wiemy, że w rozmowach wykazywała szybką orientację, humor, łatwość improwizowania. Miała bujną wyobraźnię i odwagę. Lubiła ruch i muzykę. Przede wszystkim była dociekliwa. Interesowało ją wszystko, co znajdowało się wokół niej. Ta ciekawość miała przerodzić się w intelektualne zacięcie. Już jako trzyletnia dziewczynka wymogła na matce, by nauczycielka starszej siostry jej także udzielała lekcji. Z tych wczesnych lat datuje się jej awersja do sera, gdyż wierzono wtedy powszechnie, że jego konsumpcja źle działa na umysł. Pożądanie wiedzy było u niej silniejsze niż głód. Wcześnie nauczyła się czytać i pisać. Namawiała matkę, by ją, przebraną za chłopca, posłała do miasta Mexico na uniwersytet. Pocieszyła się możliwością nauki i czytania w bogatej bibliotece dziadka. Ucząc się gramatyki obcinała sobie włosy, jeżeli na czas nie nauczyła się zadanej sobie lekcji. Powiadała, że głowa pusta nie zasługuje na ozdobę włosów.

W spuściźnie sor Juany mało jest wzmianek o jej rodzinie, o sytuacji w rodzinnym majątku u podnóża wulkanu Pepocatepetl, o świecie kobiet, w którym się wychowywała, wreszcie o dwu kochankach matki. Nie wiemy, czy znała ojca, który w kilka lat po jej przyjściu na świat zniknął ze sceny. Juana Inesa nie wspomina go. Jednak niektóre wiersze o odchodzącym mężczyźnie zdają się, wedle niektórych krytyków, jego mieć na myśli: poetka przywdziewa maskę wdowy, matki – za postacią zmarłego męża kryje się zapewne jej ojciec. Kto wie, czy

pojawienie się w domu kolejnego kochanka matki, nie popchnęło Juany Inesy nie tylko do zamknięcia się w sobie, lecz także do myśli o celi klasztornej i o samotności. W porównaniu z tymi dwoma niejasnymi mężczyznami, którzy przewinęli się przez życie Izabeli Ramirez, ona sama była osobą konkretną, rzutką i władczą. Ważną rolę w życiu rodziny odegrał również jej ojciec, z którego biblioteki Juana Inesa korzystała czytając wszystko, co jej wpadło w ręce. Ta bogata lektura otworzyła jej okno na szeroki świat, stała się dla dziewczyny ucieczką ze świata rzeczywistego w świat idealny, w prawa systemu stabilnego i szlachetnego.Biblioteka ponadto oddalała ją od powszednich konfliktów, a także stawała się fundamentem życiowej szansy. Posiadanie wiedzy mogło bowiem zrównoważyć niskie urodzenie i brak majątku. Mogło zmienić los, otworzyć lepszą przyszłość. Juana Inesa nie zważała na przeszkody: jej głód wiedzy domagał się zaspokojenia. Zuchwale wchodziła w świat umownych znaków, jaki otwierały przed nią książki, oszałamiając ją antynomiami złudy i rzeczywistości. Wtedy już zaczynała rozumieć, że wiedza jest heroicznym zrywaniem węzłów, łamaniem zakazów i konwencji.

Kiedy dzieckiem bodaj ośmioletnim będąc udała się do stolicy do bogatych krewnych, zadziwiła ich  znajomością literatury i doskonałą pamięcią. Z czasem wyrosła na przystojną, obyczajną i wykształconą pannę, nauczyła się łaciny. Dlatego, jak tylko wylądował w Meksyku nowy wicekról, żonie jego przedstawiono

cudownie uzdolnioną, a równocześnie osieroconą Juanę Inesę. Wicekrólowa, miłośniczka literatury, przyjęła ją na swoją służbę. Na dworze przez pięć lat błyszczała jej uroda, charakter i inteligencja. Juana Ines nie stroniła od zabaw, ale i nie zdołała zmienić swojej społeczno-towarzyskiej sytuacji osoby bez nazwiska i bez wiana. Bez nich korzystne zamążpójście było trudne. Ale ona sama wyznała później, że nie czuła wówczas powołania do małżeństwa.

Niespodziewanie w wieku lat dziewiętnastu wstąpiła do Zakonu Karmelitanek Bosych w Mexico. Nie wytrzymała jednak rygorów i z klasztoru wystąpiła. Półtora roku później złożyła śluby w klasztorze św. Hieronima obierając regułę mniej surową

Ten krok młodej i powabnej kobiety rozpętał wśród jej późniejszych biografów najróżniejsze domysły. Tropiono zawiedzioną, czy niemożliwą miłość Juany; jako argument cytowano jej poezję miłosną. Można by na to odpowiedzieć, że znając sytuację i predyspozycje Juany Inesy, nie trzeba szukać zawodu miłosnego, by zrozumieć, dlaczego klasztor ją pociągał. Ponadto poezję miłosną uprawiali w jej czasach wszyscy, ale, zgodnie z duchem epoki,  była to przede wszystkim sprawność, umiejętność posługiwania się sztafażem literackim. Nie posiadamy żadnych, ale to żadnych dokumentów, czy choćby poszlak świadczących, że było inaczej.

Niektórzy utrzymują, że Juana wstąpiła do klasztoru, bo miała powołanie. Ale bardziej przekonujący wydaje się pogląd, że została zakonnicą, by mieć swoje własne miejsce, gdzie czułaby się swobodna i bezpieczna, rezygnowała ze świata, ale obiecywała sobie ustabilizowane życie intelektualne. Wszelkie skrupuły, czy aby jej przywiązanie do literatury nie będzie kolidowało z obowiązkami stanu rozproszył pewien jezuita, spowiednik wicekróla, który wystarał się również o konieczne przy wstąpieniu do klasztoru wiano. Juana Inesa podjęła więc decyzję przemyślaną: skoro nie pożądała małżeństwa ze względu na ograniczone szanse, czy też odstraszona doświadczeniami matki i obu sióstr opuszczonych przez mężów, wybrała zgromadzenie zakonne oferujące jej najdogodniejsze warunki spokojnego, bezpiecznego bytowania. Bytowania twórczego: zamierzała poświęcić się nauce. Żałowała, że nie urodziła się mężczyzną, bo w jej epoce droga do wiedzy była kobietom utrudniona, jeśli nie wręcz – zamykana. Idąc do klasztoru Juana w pewnym stopniu potrafiła tę barierę dzielącą ją od upragnionej samotności sforsować.



Klasztory, liczne w owym czasie, miały ważne funkcje do spełnienia. Oprócz dawania świadectwa cnotom chrześcijańskim, w których celowały jednostki o szczególnym powołaniu, zakonnicy nauczali i leczyli, opiekowali się ubogimi. Zakony różniły się między sobą regułą, zamożnością, a także sferą społeczną, z której rekrutowały swoich członków. Klasztory cieszyły się autonomią, podlegając teoretycznie różnym przełożonym i jurysdykcjom. Oprócz licznych świąt i uroczystości religijnych urządzały również świeckie festyny, przedstawienia teatralne, gry i zabawy z udziałem gości duchownych i świeckich. Zakonnice nosiły biżuterię.Wprawdzie panował duch ascetyzmu, ale mocna też była wiara w niezwykłości i cuda. Sor

Juna żyła w takiej atmosferze zachowując umiarkowanie i zdrowy rozsądek. Klasztor, w którym przebywała, słynął z nauczania tańców, muzyki i teatru. Zakonnice, a wśród nich również i ona, pisały teksty do muzyki oraz sceny dramatyczne. Ich dzień zaczynał się o szóstej. Odprawiana była msza św., modlono się kilka razy w ciągu dnia i pracowano. Cele były obszerne, piętrowe i raczej przypominały małe mieszkanka z kuchenką i łazienką urządzane wedle własnego gustu i możliwości. Zakonnice miały służące, jadły i pracowały każda osobno we własnej celi. Choć życie zamknięte obfitowało w plotki i intrygi, sor Juana potrafiła wychodzić z nich obronną ręką przez dwadzieścia lat.

Była niezwykle pilną czytelniczką, interesowała się wszystkim, szukała szerokiej encyklopedycznej wiedzy, pisała dużo, utrzymywała bogatą korespondencję. Zaginęły jej liczne listy świadczące o potrzebie komunikowania się z ludźmi oświeconymi, a także o pewnej intelektualnej próżności.

W pierwszych latach zakonnych miała kłopoty ze zdrowiem. Atakował ją tyfus.Wspomina o chorobie w wierszach, choć elementy autobiograficzne zostają w jej kompozycjach przesłonięte tradycyjnymi środkami poetyckiej sztuki baroku to, co osobiste, przemieniło się w kunsztowne koncepty ubrane w sztafaż filozoficzno-retoryczny. Te charakterystyczne cechy stylizacji znajdziemy zresztą nawet w utworach pisanych

otwarcie dla osób najdroższych.

Ponieważ nie przechowały się oryginały wierszy, ani choćby ich odpisy, niemożliwe stało się ich datowanie za wyjątkiem bardzo niewielu tekstów. Nawet w tych drobnych utworach sor Juana jest mistrzynią słowa, rytmu i formy. Wiersze te odzwierciadlają porządek wszechświata i ład polityczny. Są to poezje dworskie zdolne zaskarbić sobie względy dworu i przynieść korzyść autorce i całemu zgromadzeniu. Ich język reprezentuje społeczne  i polityczne konwencje. Pasja utworów miłosnych jest czystym platonizmem. Jeżeli by można zarzucić coś niektórym tekstom, to to, że autorka, łasa być może na pochwały, niekiedy snuje wywód zbyt cienki, pozwalając sobie na zuchwałe dowcipy. Nie potrafiła czasem zrezygnować z zaskoczeń przemyślnej inwencji, i wówczas jej lotność i przenikliwość stawała się swego rodzaju złośliwym tryumfem wyższej inteligencji wobec, jakbyśmy to dziś określili, inteligentnych inaczej.

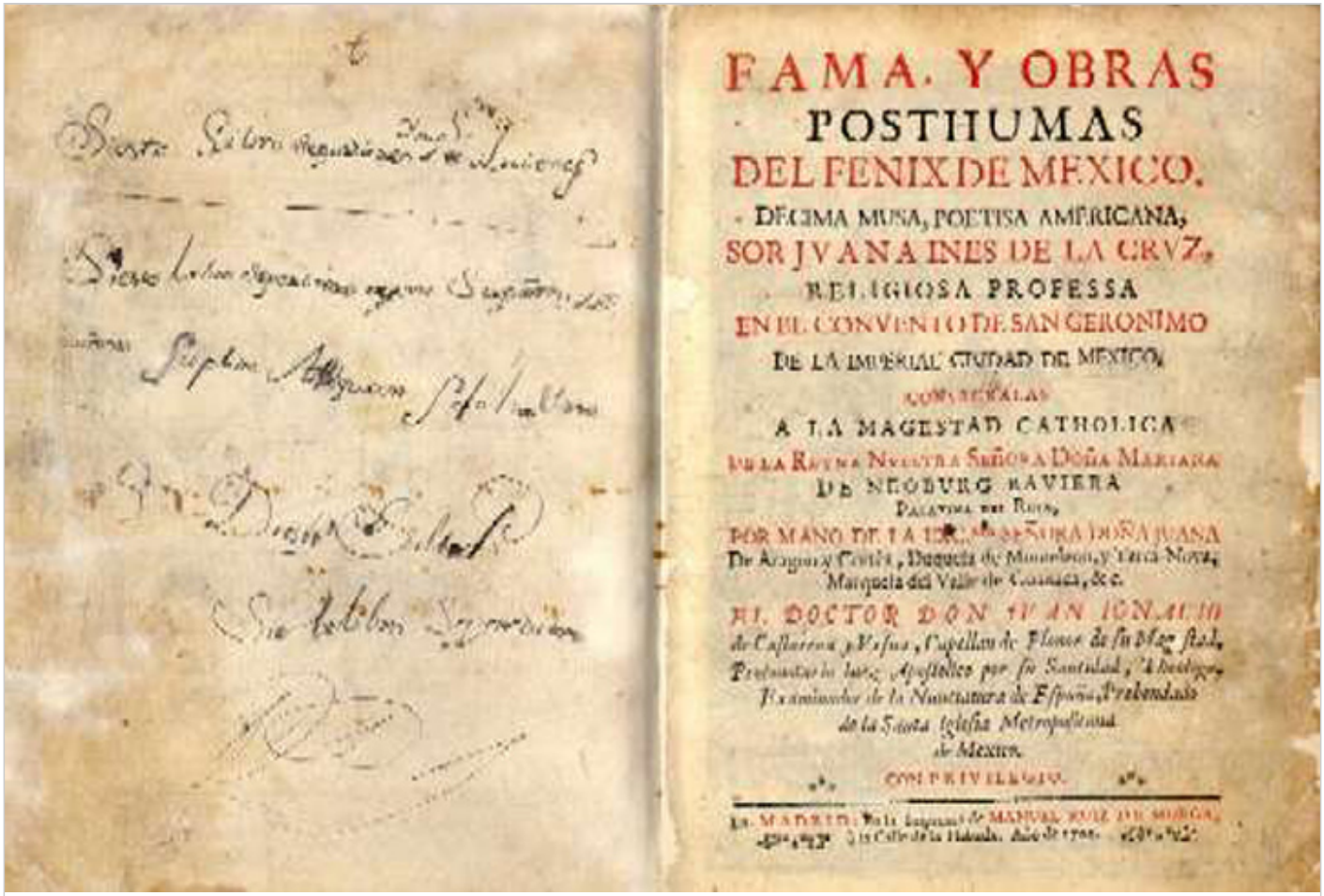


Autograf Sor Juany Ines de la Cruz.

Sor Juana była muzykalna. Komponowała melodie do własnych tekstów. Miała kolekcje instrumentów muzycznych, na pewno interesowała się teorią muzyki. Posiadała pokaźną bibliotekę, na którą składały się tomy poezji hiszpańskiej, kompendia mitologii, zbiór pisarzy rzymskich, wiele ksiąg religijnych i dewocyjnych, traktat teologów jezuickich.

W ciągu dwudziestu lat z ubogiej prowincjuszki stała się respektowaną  siostrą zakonną, piastującą funkcje wymagające

zdolności i daru budzenia zaufania. Z ubogiej półsieroty stała się zamożną i wpływową kobietą. Dzięki talentowi literackiemu weszła w zażyłe stosunki z dwiema wicekrólowymi, jej wpływy w pałacu namiestników zapewniały opiekę i protekcję jej zgromadzeniu. W rozmównicy klasztornej podejmowała gości i przyjaciół czyniąc z niej nieomal salon literacki. Pisała i rozmawiała swobodnie bacząc jedynie, aby nie wdać się w dysputy teologiczne.

Taki obraz życia żarliwego zdaje się wyzierać z portretów poetki, choć kontemplując je bliżej można w nich odkryć również rozczarowanie i samotność wybitnej jednostki odstającej od tłumu, pogrążonej w swych odważnych myślach.

Przez całe życie służyła literaturze. Bezustannie korespondowała i prowadziła dyskusje na tematy literackie, przygotowywała starannie tomy  wierszy i oddawała je w ręce przyjaciół, którzy je publikowali. Większość utworów wyszło drukiem jeszcze za jej życia, a powtarzane edycje świadczą o ich ogromnym sukcesie. Po śmierci Juany Inesy nastąpił wprawdzie wiek ciszy, ale jej powrót do łask krytyków i czytelników datuje się od końca ubiegłego wieku.

Spośród utworów sor Juany poezje miłosne budzą najwięcej kontrowersji. Podmiotem tej poezji nigdy nie jest zakonnica, ale wolna kobieta ze sfer wyższych, niezamężna lub narzeczona.

Swoboda. a niekiedy nawet zuchwałość, w traktowaniu tematów miłosnych, aczkolwiek uważane nie za wyznania osobiste piszącej, lecz wariacji na uniwersalny temat, były do czasu tolerowane przez władze kościelne z uwagi na wysokich protektorów w pałacu wicekróla. Śmiałe igraszki słowne ocierające się o granice tabu były zresztą jednym z wynalazków literackiego baroku, który cenił umiejętność dyskretnej inteligencji potrafiącej znajdować skojarzenia i relacje między przedmiotami i tworzyć koncepty jednoczące pojęcia najbardziej rozbieżne. Dodajmy, że wśród teoretyków konceptu brylowali już nieco wcześniej jezuici: w Hiszpanii Baltasar Gracian, a w Polsce – Kazimierz Sarbiewski.

Rozległą twórczość sor Juany ukształtowały życie i wyobraźnia, lektura i rozmyślania. Pamiętała lata w pałacu wicekróla, zapewne poznała rozterki miłości. W jej wierszach miłość jest pamięcią i wyobraźnią, co wcale nie musi oznaczać sztuczności czy letniości. Używając form wiersza tradycyjnego, ale również poetyki renesansowej przejętej przez hiszpańskich liryków z Italii, układała kompozycje lekkie, klarowne, bardzo rytmiczne, zasadzające się na metaforze nieraz przeradzającej się w alegorię. W formie wierszy ujawnia się bogactwo i swoboda jej inwencji. Niekiedy zaskakuje na początku iskrzeniem świetnego konceptu, trafnym słowem, znakomitym rytmem, ale potem rozczarowuje brakiem dyscypliny i zwięzłości, wielosłowiem, powtórkami. To zaniechanie rygorów jest pochodną używania

otwartej, starohiszpańskiej metryki, być może dogodniejszej do śpiewania. Inaczej zupełnie jest w sonetach, które zmuszają do przemyślanej konstrukcji. Ukazuje w nich poetka nie tylko mistrzowskie opanowanie form, ale także znakomite sploty treści, której drastyczność neutralizuje zwiewność i elegancja aluzji, a erotyczna fantazja zamazuje się w grze słów i sennych zwidów. Utwory religijne sor Juany są nieliczne i okolicznościowe. Cechuje je ten sam miłosny język i obrazowanie zgodnie z tradycją mistyków hiszpańskich oraz twórcy *Pieśni nad pieśniami.*

Najczęściej cytowanym utworem poetyckim sor Juany jest satyra na mężczyzn, którzy, będąc powodem nieszczęść kobiet, niesłusznie je potem obwiniają. W tej znakomitej obronie kobiet autorka ucieka się do formy i ducha dawnych hiszpańskich *canciones* zbieranych w popularne antologie tzw. Cancionero, a obfitujących w wyszukane koncepty miłosne, stereotypowe sytuacje i tradycyjną rytmikę. Rownież liryki z powieści pasterskiej *Gil Polo* były wzorem dla tego utworu, w którym zawarła poetka swoją obronę i zgromiła mężczyzn ich własna bronią. W tradycyjnie męskiej kulturze owych czasów utwór ten zaskakuje tonem, którego nie spodziewano się usłyszeć wśród głosów dolatujących z dalekch kolonii hiszpańskich.




Najobszerniejszym tekstem poetyckim Juany Inesy jest pochodzący z roku 1685 *Pierwszy sen.* Jest to traktat liczący 975 wersów różnie rymowanych. Akcja trwa jedną noc. Na modłę wielkiego poety barokowego Góngory, autora dwu *Samotności (Soledades)* poemat sor Juany odziany jest w szatę manierystyczną, która podziwiać każe piękno konceptu, częste przerzutnie, a nawet echa Góngory. Miejscem akcji są niezamieszkałe przestworza nieba pełne geometrycznych figur. Sor Juana pokusiła się o wyrażenie tego, co jest niewidzialne, abstrakcyjne, co dusza tylko zdolna jest dostrzec. Jest to poezja kosmiczna, w której dusza, wyszedłszy z ciała, wędruje po zaświatach. Wzloty intuicyjne duszy  wyswobodzonej z pęt ciała na kształt piramidy cienia kierują się ku nieznanym sferom.Bogactwo nieba sprawia, że dusza omdlewa oślepiona światłem. Rozum wobec ogromu świata wątpi i cofa się: porwał się oto na rzeczy niemożliwe, jak Faeton nieszczęsny, który odważył się kierować wozem słońca i "uwiecznił swe imię na swojej ruinie". Wtedy wstaje zorza, poetka budzi się. Nastał nowy dzień.

Wielu krytyków dostrzega w tym poemacie intelektualną spowiedź sor Juany, zdradzającą zuchwałość jej ducha i jego wątpliwości, ale także pochwałę bohatera tragicznego sięgającego po to, co niemożliwe. Jesteśmy w tym utworze świadkami klęski: czy jest to porażka sor Juany, kobiety czy osoby? A może to efekt upadku człowieka? Niemniej – zdaje się mówić poemat – kiedy umiłowanie wiedzy staje się pasją, a jej osiągnięcie jest niemożliwe, pozostaje nam wyzwać los i nie pozwolić, by opanowała nas rezygnacja.

Słynny teatr hiszpański siedemnastego stulecia, który po fermencie drugiej połowy wieku szesnastego przeszedł rewolucję nowej komedii Lopego de Vega, kontynuowanej i przekształcanej później przez cały zastęp genialnych dramaturgów takich jak Tirso de Molina, Alarcón i Calderón de la Barca, stał się ulubioną rozrywką społeczeństwa hiszpańskiego celebrującego siebie i swoje historyczne osiągnięcia na deskach teatrów. Żywo reagując na te inspiracje sor Juana także chwyciła za pióro i dla dworu wicekróla i wielmożów napisała dwie komedie płaszcza i szpady, to jest komedie intrygi, łącznie z poprzedzającymi je introitami i wzbogacającymi intermediami. *Los empeños de la casa*, sztuka nadal zachowująca dawny wdzięk, mówi o kobiecie, która dla miłości opuszcza dom, a potem wraca, by wyjść za mąż. Sztuka ta ma postacie racze,j szblonowe, innowacją są naleciałości meksykańskie w ustach błazna. Cechuje ją zawiła, szybko tocząca się akcja, błyskotliwe

odezwania i koncepty zakwefionych dam i zakochanych kawalerów, muzyka i śpiewy. W drugiej komedii wystawionej w roku 1689 na urodziny nowego wicekróla, *Amor es mas laberinto*, również pełnej intryg, przenosi nas poetka na wyspę Kretę Minosa i Minotaura, Tezeusza, Fedry i Ariadny. Zabawną akcję podnosi poetycki język z intrygującą mieszaniną archaizmów mitologicznych i współczesnego baroku. Ton jest wybitnie manierystyczny. Uwagę jednak zwraca przemówienie Tezeusza, który wygłasza niebezpieczną przemowę o pierwotnej równości ludzi, których dopiero przemoc ujarzmiła i stworzyła wśród nich klasy i hierarchie. To jeszcze jedna zagadka.



Można przypuścić, że fama talentu poetyckiego sor Juany

sprawiła, iż jej sztuki były chętnie odgrywane przez Meksykanów. Liczne krótkie utwory dramatyczne Juany Inesy pisane były na różne okazje. Szczególnie udane były tzw. introity, dramatyczne skecze, formy przejściowe skomponowane, w najróżniejszych miarach, w których znajdujemy wiele udanych obrazów i językowych błyskotliwości.

*Autos sacramentales* czyli moralitety eucharystyczne, hiszpańskie jednoaktówki grane w Boże Ciało oglądano również w Meksyku. Sor Juana napisała trzy *autos*, z których *Boski Narcyz* z 1688 zyskał najwięcej sławy i prawdopodobnie wystawiony został w Madrycie rok czy dwa później. W 1690 ukazał się drukiem w Mexico. Dwa pozostałe, *Męczennik Sakramentu* oraz *Sceptr Józefa* wyszły w drugim tomie Dzieł.

*Loa, czyli introit do Męczennika Sakramentu* ukazuje teologiczne zainteresowania sor Juany. Dwaj studenci teologii zastanawiają się nad największym dowodem miłości Chrystusa: czy była to Jego śmierć za ludzkość, czy pozostawienie jej Sakramentu Eucharystii, chleba nieśmiertelności, umożliwiającego ludziom uczestniczenie w Jego naturze. Trzeci student, uosabiający autorkę, która jakby na scenie zrealizowała upragniony za dziecięcych lat status studenta uniwersytetu, przesądza sprawę. Akcja auto rozgrywa się w Hiszpanii wizygockiej w VI wieku i mówi o rebelii królewicza przeciwko swojemu ojcu, który jest arianinem. Jest to raczej sztuka schematyczna, której brak szlifu

i głębszego przemyślenia. *Sceptr Józefa* zaś to historia biblijnego Józefa sprzedanego przez braci do Egiptu, który po wielu perypetiach został doradcą faraona i dygnitarzem. Akcję komentują diabły wywodząc z niej alegorię przyjścia na świat Chrystusa i ustanowienie sakramentu Ołtarza.

Boski Narcyz sugeruje podobieństwo między starożytnymi ofiarami ludzkimi  w tym wypadku świętem azteckim, podczas którego kapłani z ziaren i nasion nasyconych krwią ofiarowanych dzieci lepili postać boga Huitzilopochtli, którą następnie rwali na kawałki i spożywali – a Eucharystią. Sor Juana adaptowała mit o Narcyzie i Echo, lecz nimfa Echo reprezentuje nie człowieka, ale szatana, upadłego anioła. Chrystus patrząc do źródła nie zakochuje się jak Narcyz, w swoim odbiciu, lecz w ludzkiej kondycji, którą przybrał nie tracąc Boskości. Ta sztuka wyróżnia się wspaniałą poezją i polimetrią, reminiscencjami współczesnych poetów i *Pieśni nad pieśniami.* Należy do najwyższych osiągnięć szkoły dramatycznej Calderona, będąc dziełem o ambitnej strukturze intelektualnej.

W 1690 roku ukazała się w Puebli osobliwa publikacja: list sor Juany krytykujący kazanie portugalskiego jezuity. Autorka dała się wciągnąć w końcu w konflit między arcybiskupem Mexico a biskupem Puebli.

Nagle odezwały się nieprzyjazne głosy i zaostrzyły intrygi. Sor

Juana postanowiła odpowiedzieć na zarzuty postawione jej przez domniemaną sor Filoteę, bo pod takim pseudonimem ukrył się biskup Puebli. Napisała znakomitą i godną obronę zatytułowaną *Odpowiedź.* Adresat wtedy zamilkł i nigdy odpowiedzi nie ogłosił. Przeląkł się tekstu zakonnicy, która nie tylko się nie ukorzyła, ale odważnie i dumnie dowodziła, że jako kobieta ma prawo zajmować się sprawami intelektu i tworzyć literaturę. Broniła swojego talentu i posłannictwa dowodząc, że nie koliduje ono wcale z jej religijnym powołaniem. Wyznała szczerze, że w klasztorze szukała spokoju i możliwości lektury i twórczości. Fascynowały ją literatura starożytna i wiedza powszechna. Była samoukiem, nie miała ani nauczyciela ani współuczniów. Skarżyła się, że w klasztorze nie spotkała nikogo, kto by interesował się nauką, literaturą czy sztuką. Co gorzej, nie zaznała spokoju od towarzyszek, które szemrały przeciw jej wyróżniającej ją inteligencji i zamiłowaniom. Dowodzi w swej odpowiedzi, że nie widzi nic złego w edukacji kobiet ani w uprawianiu przez nie literatury.



Pomnik Sor Juany Ines de la Cruz w Meksyku, fot. pinterest.

Ta apologia, a zarazem szkic biograficzny, ukazała się dopiero 5 lat po śmierci autorki. A tymczasem kraj nawiedziły katastrofy żywiołowe, nieurodzaj, głód i rebelia. Wielu ludzi dostrzegało w tych zjawiskach karę Boską. Sor Juana, gnębiona atakami, ale broniąca ciągle jeszcze swojego prawa do godności człowieka rozumnego, zaczęła się wahać. Poczuła się bardzo osamotniona po odejściu od niej spowiednika i niejasnym zachowaniu się biskupa Puebli, a także po śmierci w Hiszpanii swego protektora. Rozumiała, że cierpiała prześladowania głównie dlatego, że była kobietą i do tego oświeconą. Przezornie przygotowała do druku w Hiszpanii dwa tomy swoich prac, aby one broniły jej reputacji.

Sama bowiem traciła siłę, odporność i pewność siebie. Długo się wahała, nim poprosiła spowiednika o powrót. Zdawała sobie sprawę, że równało się to kapitulacji i zrezygnowaniu z życia intelektualnego i twórczego. Po spowiedzi z całego życia podpisała dokumenty obiecujące zerwanie z przeszłością i prowadzenie wzorowego życia religijnego. Zaczęła umartwiać się ze szkodą fizyczną, a także psychiczną. 5 marca 1694 roku własną krwią podpisała wyznanie wiary oraz przekazała arcybiskupowi Mexico  swoje książki, instrumenty muzyczne i przyrządy naukowe, by je sprzedał, a dochód przeznaczył na ubogich. 17 kwietnia 1694 roku, w konsekwencji zarażenia się od sióstr, którymi się opiekowała po wybuchu epidemii, sor Juana zmarła w wieku lat 46.

Jej wybitny rodak, Octavio Paz, który napisał znakomicie udokumentowaną i osadzoną w kontekście czasów biografię sor Juan powiada, że między nią a światem była sprzeczność nie do usunięcia, sprzeczność nie tylko intelektualna, ale także egzystencjalna. Zaistniała ona między jej powołaniem literackim a życiem zakonnicy. Była kobietą a chciała być uczoną.

Dzieło pisarskie sor Juany znamionują przymioty wielkości. Najlepsze jej utwory wytrzymują porównanie ze współczesnymi jej arcydziełami. Zadziwia ich ilość i różnorodność. Pisała pod urokiem wielkiego hiszpańskiego manierysty, Góngory, spontanicznego liryka Lopego de Vega i wybornego architekta

teatru Calderóna. Jej poezja wyróżnia się przede wszystkim wielką klarownością, uczuciem mieszczącym w sobie paradoksalną dwoistość, melancholijną świadomość swych granic. Nie jest to uczucie rozpasane i nieświadome, ale poddane rygorom przetworzone i zorganizowane w języku. Poetka posługuje się chętnie konceptem, kojarzy szczęśliwie chaotyczne aspekty rzeczywistości, nie popadając w przesadę czy śmieszność. Jej krótkie liryki są żywe, potoczyste, mają wdzięk pereł. Z teatru ostał się wspomniany już moralitet *Boski Narcyz*, choć auto sacramental należy do teatru rzadko już oglądanego. Respekt budzi nadal *Pierwszy sen*, alegoria pragnienia wiedzy i aspiracji ducha ludzkiego wobec ogromu niemego nieba.

Dorothy Schons nazwała sor Juanę "pierwszą feministką" Ameryki. Aczkolwiek trzeba jej kwalifikację uznać za anachronizm, prawdą jest, że w życiu swym sor Juana doświadczyła na sobie trudności, jakie ówczesne społeczeństwo stawiało jej płci na drodze do zdobycia wiedzy. Jej matka i inne kobiety w rodzinie skazane były na poślednie, uwłaczające ich godności, życie na łasce kaprysu mężczyzn, nieślubne dzieci często szły na poniewierkę. Stawanie w obronie praw kobiety innej niż ta, która tradycyjnie znosiła swoją dolę, określano mianem pychy i rebelii. W końcu zmuszono ambitną zakonnicę do pozbycia się biblioteki i porzucenia pióra.

Hagiografowie widzą w takim finale ukorzenie się hardego ducha

i zawrócenie na drogę pokuty i umartwienia. Inni wskazują na zmierzch sor Juany jako na jawny akt nietolerancji i patologicznych nadużyć władzy przez fanatycznych i zawistnych mężczyzn, którzy swoją ofiarę zmusili do obwinienia siebie i do podpisania niejasnych deklaracji celem utrzymania dyscypliny zakonnej, a właściwie dla zachowania patriarchalnego absolutyzmu.

Współczesne feministki usiłują zrobić z autorki *Pierwszego snu* swą sztandarową patronkę. Istotnie, we wzmiankowanym liście powołała się ona na poczet oświeconych niewiast przeszłości i czasów sobie współczesnych; napisała, że inteligencja nie jest przywilejem mężczyzn, że rozum nie posiada płci, że należy nie tylko nie zabraniać kobietom możliwości nauki, ale przeciwnie, zorganizować powszechną edukację kobiet pod egidą klasztorów lub instytucji w tym celu powołanych. Byłby to z jej strony dowód odwagi. Ale Octavio Paz wskazuje na jej lęk, a przynajmniej nieśmiałość wobec władz, jej konformizm wobec Kościoła i Inkwizycji. Równocześnie jednak podkreśla jej nieugiętą wolę, by być tym, kim być chciała: by zdobyć psychiczną i moralną samowystarczalność. Nie dostrzega w jej postawie buntu, lecz "przykład właściwego zastosowania inteligencji i woli w służbie wewnętrznej wolności".

Dziesiąta Muza, jak ją nazwano, pozostaje mimo tylu dociekań, zagadką. Kto dziś zdolny jest odnaleźć prawdziwą sor Juanę? Bo

wszystko było w niej zaskakujące i jak napisał Ramón Xirau, “przedwczesne, nie wyłączając jej śmierci”.

---

# Miłość po szkocku. Wielka polityka.

*Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak*

*większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.*



Australia

**Anna Habryn**

## Rozdział 4

Jan ciężko przeżył śmierć żony. W ogóle przestał wychodzić z domu, jakby świat dookoła był przerażający i nie do zniesienia. Mary przychodziła do niego kilka razy w tygodniu, żeby posprzątać i ugotować mu coś smacznego – inaczej jadł byle co i byle jak. Zakupy robił dla niego Charlie, on też zarządzał wszystkimi pieniędzmi i płacił wszystkie rachunki. Ale Charlie nie siedział z Janem długo, nie rozmawiał z nim. Nikt w rodzinie nie był przyzwyczajony do rozmawiania z Janem, Jan po prostu był: jak tapeta na ścianie, albo jak stół w kuchni – kto by na niego zwracał uwagę! Teraz więc Mary surowo zapowiedziała swoim dzieciom, że oczekuje od każdego z nich odwiedzania Jana raz w tygodniu.

– I trzeba z nim rozmawiać, jak najwięcej. Wychodzić z nim na spacer, do parku na rogu, albo chociaż do ogrodu.

Ogród zarastał chwastami. Mary miała pełne ręce roboty.

Któregoś dnia siedzieli z Janem na werandzie i patrzyli na spaloną słońcem trawę dookoła barbeque. Nagle Jan powiedział:

– Moi koledzy wrócili do Polski. Na „Błyskawicy”. Wszystkich ich zamknęli do więzienia.

To był pierwszy raz, kiedy Jan poddał jej jakiś temat do rozmowy. Podtrzymała ten temat skwapliwie. Wreszcie się ożywił!

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Seweryna pisała.

Od swojej najmłodszej siostry, Seweryny, Jan otrzymywał listy nieczęsto. Tuż po wojnie wysłał jej jakieś lekarstwa, a potem dostawał od niej kartkę – zbiorowe życzenia od całej rodziny – na każde Boże Narodzenie.

– Wiesz – powiedziała Mary – wszyscy dawni żołnierze i marynarze maszerują co roku na *Anzac Day* w pochodzie, obwieszeni medalami. Polacy też. Ty też byłeś ranny na wojnie, należy ci się odznaczenie. Dlaczego nigdy nie starałeś się o nie?

Powiedział z powątpiewaniem:

– Nie wiem, czy mi się należy.

– Trzeba się dowiedzieć!

– Sheila mówiła – jego oczy się zaszkliły – że to głupi pomysł. Nie wypada dopominać się o medal.

– Jak to, nie wypada! Kto wie, że ty jesteś w Australii? Może cię szukali, żeby ci dać ten medal, a nie mogli cię znaleźć.

Poweselał, ale pokręcił głową:

– Nie warto. Gdyby Sandra żyła… to jeszcze.

Wracając do domu Mary myślała:

*Gdyby Sandra żyła… na pewno dowiedziałaby się, czy ojcu nie przyznano jakichś odznaczeń. Ale Sandry nie ma. A matka uważała, że to głupie. No cóż, zobaczymy, czy rzeczywiście!*

Zaczęła od kilku telefonów. Pierwszy – do Ligi Emerytowanych Wojskowych, *RSL*. Drugi – do Ministerstwa do Spraw Weteranów. Podała im kilka podstawowych informacji – i otrzymała adres w Anglii.

Zdała sobie sprawę, że informacji ma za mało. Czy Jan zdoła sobie coś więcej przypomnieć? Odtąd, ile razy sprzątała jego dom, a on siedział w fotelu i patrzył na jej krzątaninę, jednocześnie zadawała pytania. Jednego dnia, akurat kiedy nurkując pod stołem usiłowała sprać z dywanu resztki jedzenia, usłyszała niebywałą historię:

– Kiedy to mogło być…? Eskortowaliśmy *Queen Mary* przez

Atlantyk, z Ameryki do Europy. To był duży konwój. Jeden z małych okrętów zderzył się z nią, nie zrobił dziury pod wodą, ale wyżej, uszkodził jej burtę. Byliśmy blisko i wszystko widzieliśmy.

– Coś podobnego! Nigdy o tym nie wspominałeś.

– Kapitan zebrał nas wszystkich i kazał przysięgnąć, że nikt nic nie powie. Sekret.

– Pewnie! – Mary zafascynowana tą myślą wychyliła się spod stołu – gdyby Niemcy się dowiedzieli! Śmiech na cały świat. Taka okazja dla propagandy!

– Nikt słowa nie pisnął. Gazety też nie miały prawa tego podać.

*Ale w archiwach* – pomyślała Mary – *gdzieś w brytyjskich archiwach jakaś wzmianka o tym pewnie jest?*

– W którym to było roku? – zapytała. – W 1942? W 43?

Bezradnie wzruszył ramionami:

– Nie pamiętam.

Nikt nigdy nie zachęcał Jana do snucia marynarskich opowieści, tylko ona, Mary. A teraz, raz już zacząwszy, opowiadał chętnie:

– Wiesz, co to znaczy *Błyskawica*?

– *Ligthning* – odpowiedziała, bo to już dawno zdążyła sprawdzić w słowniku. – To musiał być bardzo szybki okręt, prawda?

– O, bardzo dobry okręt, bardzo szybki. – Zatrzymał się, zmarszczył brwi, a potem rzekł: – Raz ścigaliśmy się z Niemcami. Próbowali nas dogonić. To był *Graf Spee*, miał dużo więcej dział, niż my. Dwa dni siedział nam na rufie, próbowali strzelać, ale byli za daleko i nie mogli się zbliżyć! W końcu my byliśmy szybsi.

– Gdzie to było?

– Na Atlantyku. Dopłynęliśmy do Montevideo, żeby zatankować paliwo i wziąć wodę i żywność. Patrzymy – a tu *Graf* też wpływa. Cała załoga na burcie. Udali, że nas nie widzą. To był neutralny port. Drugiego ranka już ich nie było. I już ich nigdy nie spotkaliśmy.

Od razu tego samego wieczora Mary sprawdziła w *„Britannice”* – i owszem, był tam hasło *Graf Spee*. To był słynny okręt, robił 25 węzłów. Znalazła całą historię o tym, jak to w 39-tym roku cała grupa angielskich ścigaczy próbowała bezskutecznie pokonać *Grafa Spee*, gdzieś niedaleko Montevideo. Potwierdzało to opowieść Jana. Jeśli *Błyskawica* naprawdę potrafiła wystrychnąć *Grafa* na dudka, no, no…

Minął miesiąc – i Mary dostała z Anglii krótki list z prośbą o przysłanie im świadectwa urodzenia Jana. Skąd je wziąć? Jeśli nawet było gdzieś w rodzinnych papierach, to Charlie trzymał je pod kluczem. Jej brat był wściekły, kiedy Jan wspomniał mu o jej wysiłkach.

– Bzdury! – powiedział podobno. – Ja nie będę do tego przykładał ręki. Przecież ci to do niczego nie potrzebne. Mary tylko robi zamieszanie.

Mary zadecydowała, że napisze do Seweryny. Tylko… jak? Nie znała żadnych Polaków w Perth, nikt nie mógł jej pomóc. Poszła więc do biblioteki miejskiej, wzięła z półki największy słownik, jaki tam mieli i napisała krótki list. Wyszedł z tego zlepek polskich słów pozbawiony wszelkiej gramatyki, ale jakimś cudem Seweryna pojęła, o co jej chodzi – i przysłała żądany dokument! Dołączyła do niego list… i tu Mary była w kropce. Siedziała nad nim godzinami, ale nic nie mogła zrozumieć, oprócz „dziękuję”: *thank you*.

Znowu zaczęła nękać telefonami różnych znajomych i nieznajomych ludzi, aż ktoś skontaktował ją z George`m. George, starszy pan i były żołnierz, miał poczucie humoru i szacunek dla ludzi, którzy naprawdę czegoś chcą. Cierpliwie tłumaczył jej listy, które Mary przywoziła mu odtąd co kilka tygodni. Jan nie mógł sobie z nimi poradzić. Mary ze zdziwieniem zauważyła, że

Jan niewiele z listów Seweryny rozumie.

Przechodząc przez frontowy trawnik pomyślała: *Znowu trzeba podlać. Jan w ogóle już o to nie dba. Lato się kończy. Już niedługo będzie więcej deszczu, to dobrze. Zaraz poszukam ogrodowego węża i zmuszę Jana, żeby wziął się do roboty.*

Otworzyła drzwi własnym kluczem i weszła do środka.

– Halo, Janie, jestem! – zawołała. – Trzeba otworzyć okna, bo straszny tu zaduch.

Leżał na łóżku w sypialni, nie ruszył się na jej widok. Patrzył w sufit.

– Janie – dotknęła jego ramienia. Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

– Mam list z Londynu, zaraz ci przeczytam. Wstaniesz?

Podniósł się powoli, z trudem, usiadł. Siadła obok i wyciągnęła z torebki urzędowe pismo z ozdobnym nagłówkiem.

– Tu piszą – powiedziała – że dziękują za przysłanie im dokumentów. Sprawdzili wszystko w *War Office* i tutaj masz – pomachała triumfalnie arkuszem papieru – formularz i musisz to

wypełnić, bo to przecież ty występujesz o uznanie wojennych zasług, nie ja, i musisz wszystko podpisać – o, tutaj. Widzisz, sprawa jest w toku.

Patrzył na papiery i nic nie mówił. (…)

***

*Silver Chain* był instytucją państwową. Pielęgniarki przyjeżdżały doglądać starych i chorych ludzi. Kosztowało to niewiele albo nic – państwo dopłacało.

– Ależ ty nie jesteś niedołężny! Całkiem dobrze sobie radzisz. Ja przecież ci sprzątam. Masz czyste ubrania i pościel, bo robię i pranie i prasowanie!

– Charlie nie chce, żebyś tu przychodziła.

– On mi nie może zabronić. Jesteś moim ojcem tak samo, jak jego. Mam prawo i obowiązek się tobą opiekować. – Objęła Jana ramieniem. – Chyba, że ty też nie chcesz, żebym przychodziła?

Pogładził jej rękę.

– Jesteś dobra dziewczyna. I Mandy też przychodzi. A Bill podarował mi nową laskę – pochwalił się. Mary rozjaśniła się.

Powiedziała:
– Widzisz, taka powinna być rodzina. A ja mam dla ciebie niespodziankę. Nie, nic do jedzenia. Tutaj jest numer telefonu do Poznania, do Seweryny. Chcesz, to zadzwonimy?

Patrzył z niedowierzaniem, jakby przestraszony.

– No, chcesz porozmawiać z Seweryną?

Zrobił ruch, jakby chciał ją powstrzymać, ale już brała się do wykręcania numeru. Masa była tych cyfr, potem długi ciąg jakichś brzęczeń i odgłosów, wreszcie sygnał – i kobiecy głos po tamtej stronie:

– Halo?

– *Severina*? Tu Mary. Mary! Australia. Mówić Jan. Brat. Jan.

I wepchnęła oszołomionemu Janowi słuchawkę do ręki. Wziął ją niepewnie. Z tamtej strony zaszumiało, rozświergotało się radosnym potokiem słów. Jan rozjaśnił się, uśmiechnął i słuchał, słuchał… Potem chrząknął i głosem, który brzmiał inaczej, nie jak jego własny głos, powiedział kilka słów, miękko i łagodnie, niepewnie i cicho. Potem powtórzył to głośniej. A potem oddał słuchawkę Mary. Powiedziała do Seweryny:

– Dziękuję, *Severina*. My kochać Jan. Dziękuję. Do widzenia. Do widzenia.

A potem złapała Jana w pół i próbowała tańczyć z nim po mieszkaniu, ale był to wysiłek beznadziejny, bo Jan był ciężki i ruszał się jak słoń.

***



Kontrtorpedowiec „Blyskawica”.

Dwa dni później Jan zadzwonił do Mary. To była cudowna

niespodzianka, bo Jan nigdy nigdzie nie telefonował.

– Mary – powiedział – chcę jechać do Poznania, do domu.

Popędziła do niego następnego dnia jak na skrzydłach, ale Janowi jakoś przeszedł już wczorajszy zapał.

– Trzeba załatwić ci paszport. Pomogę ci.

Pokręcił głową.

– Dlaczego nie? O co chodzi?

– Wilson mówi, że nie mogę jechać.

– Janie, możesz robić, co tylko zechcesz! – Chciało jej się płakać. – Jesteś wolnym człowiekiem, ty sobą sam rządzisz, Janie! A paszport załatwia się bardzo prosto. Trzeba tylko dwa zdjęcia, gdzieś przecież masz te robione zeszłego roku…?

Na podjazd wjechał mały niebieski samochód.

– *Silver Chain* – powiedział Jan.

Z samochodu wysiadła duża kobieta o energicznych ruchach. Płaskie obcasy, długi, mocny krok. Weszła, uścisnęła rękę Mary i

przedstawiła się:

– Jestem Christine.

Mary spojrzała uważnie: piegowata, szeroka twarz, białe zęby, roześmiane oczy.

– Szkotka?

– Szkotka.

– Cudownie, że właśnie przyjechałaś. Poświadczysz nam prawdziwość tych zdjęć?

Christine popatrzyła na zdjęcia i na Jana:

– Ten sam. Poświadczę.

O nic więcej nie pytała, a Mary poczuła, że w Christine będzie miała sprzymierzeńca.

Przeciętny Australijczyk mógł złożyć podanie o paszport na każdej poczcie. Urzędnik pocztowy poświadczał zgodność podpisu – i dalej sprawa załatwiała się sama, a gotowy dokument listonosz przynosił do domu.

W wypadku Jana rzecz nie była taka prosta. Mary napisała do Ministerstwa Imigracji uprzejmy list z zapytaniem, czy będzie można uzyskać paszport na podstawie kopii polskiego aktu urodzenia oraz angielskiego *War Record* czyli świadectwa uczestniczenia w II Wojnie Światowej? Taki dokument z wyliczeniem wszystkich okrętów wojennych, na jakich Jan pływał podczas wojny, otrzymała z Londynu razem z wiadomością, że Janowi przyznano pięć odznaczeń. Pędziła wtedy do Jana w deszczu, po śliskich jezdniach, przekraczając szybkość. Od progu wołała:

– Janie, przyznali ci pięć medali! Nie jeden – pięć!

Teraz mogła tego dokumentu użyć do przekonania australijskich władz o tożsamości Jana. Wiedziała jeszcze, że Jan Rogacki był naturalizowany w UK w roku 1959. W liście pytała, czy wolno jej będzie występować w imieniu jej ojczyma, który jest starym człowiekiem.

Któregoś ranka miły żeński głos zakomunikował jej przez telefon:

– Proszę nam przysłać wszystkie posiadane przez pana Rogackiego dokumenty i podpisany przez niego kwestionariusz paszportowy. Nie powinno być z tym żadnych trudności.

Dwa tygodnie później Christine powitała ją na progu domu Jana z

dziwnym wyrazem twarzy.

– Znowu jakieś obraźliwe listy do mnie od mego brata? – zapytała ją Mary. Christine bowiem była świadkiem tej całej wojny nerwów i nie ukrywała przed Mary, że motywy dziwnego zachowania młodszego pana Wilsona są dla niej niepojęte, a jego formy – niegodne dżentelmena.

Tym razem poprowadziła Mary bez słowa do jadalni, gdzie na ścianie, na eksponowanym miejscu wisiał oprawiony w ramki dokument oświadczający, że *żaden podpis złożony przez Jamesa Wilsona nie ma mocy prawnej, gdyż został on urzędowo uznany za osobę o zmniejszonej poczytalności, na podstawie opinii autorytetów medycznych.*

– Co to jest?! – krzyknęła Mary z niedowierzaniem. Christine powiedziała spokojnie:

– Pan Charles Wilson sprowadził lekarza, który odbył rozmowę z Janem, wydał odpowiednią opinię o jego zmniejszonej poczytalności – i oto rezultat.

– Co za podłość – powiedziała Mary ze ściśniętym gardłem. – Gdzie jest Jan? Co on na to?!

– Obawiam się, że nie do końca docenia wagę tego, co się

właśnie stało. I raczej nie wyprowadzaj go z błędu, Mary. To jest stary człowiek, po co miałby być bardziej nieszczęśliwy.

Mary poczuła, że jej duszno.

– Kto był przy tej rozmowie?

– Nie wiem. Ja nie. Pan Charles sam mi o tym powiedział.

– Podły, och, podły! Wyobrażam sobie, jak to musiało wyglądać. Na pewno nikt biednego Jana nie uprzedził i nie wyjaśnił mu, o co chodzi. On jest taki nieśmiały wobec obcych ludzi! A do tego – przecież on tak niewiele mówi – i angielski nie jest jego rodzimym językiem – och, przecież on naprawdę nie jest niepoczytalny!!!

– Wszyscy wiemy, że nie jest. Ale z tego wynika, że nie może decydować o sobie. Obawiam się, Mary, że nie możesz już nic zrobić.

– Och – krzyknęła Mary z furią – jeszcze zobaczymy! Na razie – pobiłam go o tydzień! O siedem dni.

*Rozdział 5 ukaże się w poniedziałek 24 kwietnia 2017 r.*

# Karola Wojtyły sztuka słowa

> Słowo — odwieczne widzenie i odwieczne wypowiedzenie.Ten, który stwarzał, widział —widział, „że było dobre”,widział widzeniem różnym od naszego, On — pierwszy Widzący — Widział, odnajdywał we wszystkim jakiś ślad swej Istoty, swej pełni — Widział (…).
>
> Jan Paweł II „Tryptyk rzymski”.

**Rozmowa z prof. Mirosławą Oldakowską-Kuflową**

**z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.**



Jan Paweł II, fot. Grzegorz Gałązka, East News

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Literatura piękna tworzona przez Jana Pawła II jest bardzo bogata. Czy można w niej wyróżnić wyraźne progi, jako kolejne etapy w rozwoju tej literatury?

**Mirosława Oldakowska-Kuflowa:** W twórczości Jana Pawła II wyróżniłabym właściwie tylko dwa okresy – okres młodzieńczy, a potem już okres dojrzały. W  okresie dojrzałym Karol Wojtyła odpowiada swoją twórczością na kolejne przeżycia i kolejne

doświadczenia. Ale trudno powiedzieć, że to są fazy. Niektóre aspekty się powtarzają, przeplatają. Ciekawi go, co tak naprawdę dzieje się we wnętrzu człowieka. W latach 1945-50, jeszcze mocno związany z teatrem, pisze dramat „Brat naszego Boga", w którym przedstawione jest odejście od sztuki Adama Chmielowskiego, albo dojście do sztuki wyższej, sztuki, w której artystą jest sam Bóg, a człowiek jest tworzywem przez niego kierowanym. Może to być pewien próg w rozumieniu roli sztuki i literatury.

**JSG:** Czy patrząc całościowo na literaturę Jana Pawła II można w niej wyróżnić jeden wspólny mianownik?

**MOK:** Poezja Karola Wojtyły jest poezją wysokiego lotu, wielopłaszczyznową. Przyglądając się badaniom nad tą literaturą widać wyraźnie, że każdy z badaczy podchodzi do niej z własnym narzędziem, czy sposobem widzenia i odnajduje wspólny mianownik czasami w bardzo różnych aspektach. Jest to poezja myśli, głęboko docierająca do wnętrza człowieka i intelektualna. I to może być wspólny mianownik. Jest poezją doświadczenia wewnętrznego i to też jest wspólny mianownik. Występuje w niej relacja człowieka z Bogiem, syntetyczne widzenie biblijności od pierwszych ksiąg, aż po eschatologiczną i w tym wymiarze jest głęboko biblijna. Powtarzają się w niej symbole i archetypy, np. źródła, wędrówki, spotkania. Wspólny jest sposób syntetyzowania szerokich płaszczyzn, szerokich pól

semantycznych i kulturowych. Wyraźnie widać w niej zakorzenienie w tradycji – przede wszystkim romantycznej i neoromantycznej. Można więc znaleźć wiele mianowników, dlatego poezja ta jest tak wielowarstwowa i głęboka.

**JSG:** Czy analiza tekstów Jana Pawła II to trudne zadanie dla badacza literatury?

**MOK:** Jest to twórczość trudna w kilku aspektach. Przede wszystkim dlatego, że jest ona usytuowana na pograniczu literatury i religii. I chociaż w Polsce już mamy dobrze wypracowane narzędzia do badania tego pogranicza, to spotkanie sztuki z nieuchwytną rzeczywistością nadprzyrodzoną zawsze będzie problemem trudnym do badania i domagającym się jakiegoś faktu, wyczucia, precyzji, Po drugie, wszyscy piszący o twórczości papieża zgadzają się z tym, że wymaga ona wysiłku i cierpliwości, ze względu na jej intelektualizm, zakorzenienie filozoficzne, sięganie do tradycji. Poza tym wszystko, co rozgrywa się we wnętrzu człowieka odgrywa w niej tak ważną rolę, opiera się w dużej mierze na duchowości karmelitańskiej, wypływa z praktyki w Teatrze Rapsodycznym itd. Jest w niej więc takie zagęszczenie różnych sensów, że literatura ta musi być trudna.

**JSG:** Dlaczego Pani zainteresowała się twórczością Jana Pawła II?

**MOK:** Na początku zaciekawiło mnie, że oto nowo wybrany papież (byłam wtedy jeszcze studentką) również pisze i tworzy poezję. Ale przy pierwszym podejściu niestety poniosłam porażkę, bo była to dla mnie poezja za trudna. Potem jednak przyszła chęć znalezienia swojego klucza do tej twórczości, dowiedzenia się, co w niej tak na prawdę jest, co stanowi jej istotę. Takie też miałam podejście do innych trudnych poetów, np. do Miłosza, przez którego na początku nie mogłam przebrnąć. No i zaczęłam się wgłębiać w te wszystkie warstwy filozoficzno-intelektualne twórczości Karola Wojtyły, a czym głębiej wchodziłam, tym ogarniała mnie większa fascynacja i zauroczenie tym, co w niej odnajdywałam, tym całym bogactwem myśli.

**JSG:** Mówiła Pani, że twórczość Jana Pawła II sytuuje się na pograniczu literatury i religii. Jak wobec tego kształtują się te relacje pomiędzy religią a literaturą?

**MOK:** Trudno tu mówić o relacjach. Literatura i religia przenikają się na bardzo głębokich poziomach. Literatura schodzi do głębi człowieka, sztuka jest także penetrowaniem wnętrza, musi więc się stykać z obecnym tam Bogiem. Tak więc te obszary głęboko się zazębiają. W tym kontekście w twórczości Jana Pawła II widać też różne fascynacje chociażby św. Janem od Krzyża, czy sztuką hiszpańską, która w głębi ludzkiego wnętrza jest w stanie odnaleźć bożą obecność. Wchodzą tu też w grę jego

filozoficzne i teologiczne przekonania, jest tam także fenomenologia. Posługując się podejściem fenomenologicznym, które bada zjawiska, tak jak one się jawią, bez wszelkiego rodzaju założeń, Jan Paweł II pokazuje, jak on prowadzi obserwacje ludzkiego wnętrza u siebie, ale także w doświadczeniu innych ludzi, którzy się odkrywają.

**JSG:** Literatura odgrywała w życiu Jana Pawła II na pewno ogromną rolę skoro jako pierwszy kierunek studiów wybrał filologię polską i całe życie pisał teksty literackie. Czym dla niego było słowo literackie, przekaz literacki?

**MOK:** Jego poezja wynika też w dużej mierze z praktyki teatralnej w Teatrze Rapsodycznym, gdzie Słowo odgrywało dużą rolę. Musimy pamiętać, że w tamtym czasie teatry awangardowe odchodziły od słowa, to były teatry gestu, gry aktorskiej, mimiki, scenografii, symbolu scenicznego. Natomiast Teatr Rapsodyczny pod względem technicznym był ubogi, natomiast był to teatr Słowa. I to, co się działo na scenie, działo się właściwie w przestrzeni słowa. Samo słowo „rapsodyczny" oznaczało, że Słowo dzieje się na scenie. Po praktyce w teatrze słowa, Karol Wojtyła przeżywa swoje powołanie kapłańskie, zaczyna potajemnie studiować teologię. Nasi sąsiedzi ładnie tłumaczą źródłosłów słowa teologia – bogosłowie, czyli nauka o słowie bożym. A więc spotykają się tu fascynacje zarówno słowem wykreowanym przez teatr, jak i słowem bożym. Ale myślę, że

trzeba powiedzieć i więcej. U Karola Wojtyły widać wielką fascynację słowem jako tą dziedziną sztuki, która jest mu najbliższa. A sztuka w ogóle była mu przecież bardzo bliska. W dramacie „Brat naszego Boga" jest taka piękna dyskusja różnych artystów o tym, czym jest sztuka. To go pasjonuje.

Natomiast przekaz literacki jest dla niego przekazem myśli, skoro słowo jest odczytywaniem, czy nazywaniem tego co dzieje się w przestrzeni myśli, w przestrzeni rozumienia człowieka, w przestrzeni poznawczej, poszukiwaniem poznawczym, w którym sięga się do głębi swoich myśli, swojego poznania także.

**JSG:** Jaką rolę według Jana Pawła II odgrywać miała literatura w życiu człowieka?

**MOK:** Tutaj sięgnę do tego, co artyści mówią o sztuce, w dramacie „Brat naszego Boga". Sztuka tam jest pokazana jako studium siebie samego, jako wewnętrzne przetwarzanie doświadczeń, jako szansa na dojrzewanie człowieka, a także jako sposób na kontaktowanie się artysty ze społeczeństwem. Najwyższą rolę sztuki, taką najbardziej szlachetną ukazuje postać Pani Heleny, która w pierwszej wersji dramatu nosiła imię „Pani, mająca władzę katharsis". Helena mówi, że ona pośredniczy między pięknem transcendentnym a człowiekiem, który może dzięki niej tego piękna doznać i przeżyć je. Artystka zawsze płaci za ten przekaz pełną cenę, za każdym razem musi

włożyć całą siebie, ażeby przez swoje uczestnictwo w akcie twórczym, akcie nadprzyrodzonym dawała udział w tym pięknie także i innym. Myślę, że w rozumieniu ludzkim jest to najwyższe rozumienie sztuki, skoro „Pani mającej władzę katharsis" takie słowa Karol Wojtyła wkłada w usta. Choć najwyższy rodzaj sztuki, ma dla Jana Pawła II miejsce wtedy, kiedy artystą jest Bóg, a człowiek jest tworzywem. Sztuka jest wtedy symbolem tego, co może się stać w przestrzeni relacji człowieka z Bogiem.

**JSG:** Czego wobec tego Jan Paweł II oczekuje od artystów?

**MOK:** Jan Paweł II uważa, że sztuka powinna nieść radość i nadzieję, literatura nie powinna pogrążać człowieka w beznadziei, w pesymizmie, w smutku. W rozważaniach na temat istoty sztuki, prezentuje różne stanowiska, oprócz jednego, nie ma dla niego sztuki dla sztuki, cyzelowania słowa dla samego cyzelowania. I zawsze zachęcał artystów do niesienia nadziei, nie w sensie łatwego optymizmu, bo uważa, że należy poruszać głębokie problemy, ale niesienie optymizmu jest według niego zadaniem sztuki.

**JSG:** Do jakich obszarów kulturowych, tradycji literackiej czy filozofii odwołuje się Jan Paweł II w swojej twórczości?

**MOK:** Twórczość Jana Pawła II wyrasta głęboko z tradycji romantycznej. Ale nie z kultu romantycznej jednostki, która

mówi prorocze słowa, tak jak Kordian, czy Konrad z Wielkiej Improwizacji. Z romantyzmu bierze psychomachię, tę potężną walkę pomiędzy walczącymi o człowieka siłami, siłą dobra i siłą zła. Jest np. taka piękna scena w dramacie „Brat naszego Boga", kiedy Adam Chmielowski rozmawia z Tamtym, ukazanym jako cień rzucany przez Adama na uliczny mur, przy którym przechodzi. Tamten próbuje się podszyć pod jego świadomość i jaźń. Adam rozmawia z cieniem i mało brakuje, a uwierzyłby, że Tamten jest rzeczywiście wewnętrznym ośrodkiem jego świadomości. W pewnym momencie spostrzega pod latarnią słaniającego się człowieka. I nagle odkrywa obraz i podobieństwo Boga. Pod latarnią, na ulicy, dokonuje się teofania. Adam mówi: „Teraz Cię poznaje, nie możesz być mną (…) zwierciadło świata świeci ogromną pustką". Ta scena wyraźnie nawiązuje do romantyzmu – zwierciadło świata, pustka, rozmowa z cieniem, psychomachia, ale na jakże innych, głębszych poziomach się rozgrywa.

Oprócz obszarów tradycji romantycznych i neoromantycznych, Jana Pawła II pasjonował Wyspiański i dużo z niego czerpał. Ale obok tradycji literackiej widać wyraźnie wpływ teologii Jana od Krzyża, doświadczenia mistycznego, które jest tak niezmiernie ważne i filozofii, zarówno tej klasycznej, gdzie definiowane są podstawowe pojęcie bytu jako dobra życia człowieka, jak i metody od metody fenomenologicznej obserwacji, gdy sam staje się i podmiotem, i przedmiotem obserwacji.

**JSG:** Jakie aspekty twórczości Jana Pawła II są Pani najbliższe?

**MOK:** W moich badaniach zajmowałam się przede wszystkim biblijnością tej twórczości. Pojawiają się tam zarówno przypowieści, jak i odniesienia do Eucharystii. Jan Paweł II przekazuje bardzo głębokie myśli w krótkim obrazie poetyckim, nawiązując do szeregu miejsc-obrazów. Człowiek pokazany jest od początku, od tego jak wyszedł jako syn Boży z rąk Stwórcy, aż do eschatologii, do czasów ostatecznych. W twórczości tej jest podążanie myślą za teologią św. Pawła. I właśnie wyszukiwanie tych wielopłaszczyznowości biblijnych, najbardziej mnie pasjonowało. Spotkanie słowa poetyckiego ze słowem objawionym i dokonywanie się syntezy tych dwóch płaszczyzn, chyba mnie najbardziej pociąga.

**JSG:** Czy spotkała się Pani z Janem Pawłem II?

**MOK:** Znałam Jana Pawła II przede wszystkim z jego pielgrzymek. Miałam bliskie kontakty z racji mojego zaangażowania w różne działalności w Archidiecezji Krakowskiej, ale nie zapamiętałam szczególnie żadnego z tamtych momentów. Bardzo silnie zapamiętałam jeden, jeszcze z okresu przed papieskiego. Przypadkowo znalazłam się w Kaplicy Sykstyńskiej, wówczas, gdy rozpoczynało się konklawe, na którym wybrano Jana Pawła I. Pamiętam jak do Kaplicy Sykstyńskiej wchodzili kardynałowie, m.in. prymas Wyszyński i

Karol Wojtyła. Wokół były grupy Polaków, którzy pozdrawiali naszych kardynałów. Prymas Wyszyński reagował na pozdrowienia, odwracał się błogosławił. Natomiast Karol Wojtyła szedł niezwykle skupiony, ze wzrokiem utkwionym w posadzkę, ze złożonymi rękami i nie reagował, jak gdyby zostawił Prymasowi odpowiedzi na pozdrowienia Polaków. To jego skupienie było dla mnie tak uderzające, że pamiętam je do dziś. To jest dla mnie ważny moment i niejako symboliczny.

**JSG:** Czy mogłaby Pani zacytować jeden ze swoich ulubionych utworów poetyckich Jana Pawła II, lub jego fragment?

**MOK:** Mam takie ulubione króciutkie sentencje jak chociażby „Daj się kształtować myśli", ale proponowałabym zacytować fragment, który nie jest taki trudny. Jest to „Pieśń o Bogu ukrytym", jeden z pierwszych utworów w dojrzałej twórczości Karola Wojtyły. Doznający przeżycia mistycznego podmiot zostaje odsunięty, staje na uboczu, a w centrum znajduje się Trójca Święta. Uważam, że jest to jeden z ważniejszych utworów w polskiej poezji, dotyczącej chrześcijańskiego przeżycia mistycznego, gdzie człowiek jest świadkiem życia wewnętrznego Trójcy Świętej. Poetycko został tu oddany dialog Ojca i Syna. Są pełne miłości słowa Ojca, które kieruje do Syna, i Syna, który odpowiada Ojcu. A i wszechogarniający Duch Święty, ta najbardziej tajemnicza postać Trójcy Świętej, też tam jest obecny.

> Synu, kiedy odejdziesz, wzbierająca głębio odwieczna,
> w której wszystko ujrzałem –
> Ojcze, Miłość oznacza konieczność
> wzbierania chwałą.
>
> Synu, spójrz, niedaleko od Twojej jasności
> jest kłosów dojrzałe pęcznienie –
> Przyjdzie dzień, gdy odejmą Ci blask,
> kiedy jasność Twą wydam ziemi.
>
> Ojcze, spójrz, niedalekie od mojej miłości
> jest me spojrzenie,
> którym ogarniam odwiecznie
> ten dzień wzbierającej zieleni.

To był tylko fragment, ale polecam całą tę 14 część „Pieśni o Bogu ukrytym”, która dopiero w całości te wszystkie sensy zbiera.

**JSG:** Jak Karola Wojtyłę wspominają ci pracownicy KUL-u, którzy go pamiętają, jako wykładowcę sprzed  lat?

**MOK:** Wspomnień tych jest bardzo dużo i są różnorodne. Jedni wspominają, że poszli na wykłady Karola Wojtyły, bo zaczęło się o nich mówić, że są ciekawe, że warto posłuchać. Inni mówią, że

wykłady te były dla nich bardzo trudne i pamiętają  zmaganie się z trudnym teologicznym i filozoficznym językiem, jeszcze inni mówią o wykładach fascynujących. Niektórzy przypominają, że gdy Karol Wojtyła zatrzymywał się w Lublinie na noc, odwiedzał swoich przyjaciół w ich domach i prowadzono długie dyskusje filozoficzno-etyczne. Wspomina się go, że miał wielką prostotę w kontakcie z ludźmi, ale i zawsze duży ładunek intelektualny. Nieżyjąca już pani profesor Leokadia Małnowiczówna, filolog klasyczny, wspominała, że kiedy dojeżdżał jako biskup na KUL, całą profesorską pensję oddawał na potrzeby ubogich studentów, albo na inne cele charytatywne. Biskup nie musiał się martwić o wyżywienie w Kurii Biskupiej, a na KUL-u studiowało wielu ubogich studentów. Wspomina się także, że gdy miał przerwę pomiędzy wykładami, to bardzo często można było go zobaczyć, że odwraca się do ściany, żeby się nie rozpraszać i modli się, przeznaczając tę krótką chwilę na rozmyślanie, na  kontakt z Bogiem. To taka garść wspomnień.

> Słowo, zanim zostanie wypowiedziane na scenie, żyje naprzód w dziejach człowieka, jest jakimś podstawowym wymiarem jego życia duchowego. Jest wreszcie ukierunkowaniem na niezgłębioną tajemnicę Boga samego. Odkrywając Słowo poprzez studia literackie czy językowe, nie mogłem nie przybliżyć się do tajemnicy Słowa – tego Słowa, o którym mówimy codziennie w modlitwie Anioł

> Pański – Jan Paweł II, „Dar i Tajemnica”.

---

# Muza Zaświecia i jej matka

**Władysław Pomarański**

We Lwowie byłem krótko, bardzo krótko, tylko dwa dni. Byłem tam kilka lat temu w czasie mego pobytu w Polsce. Słyszałem przed wyjazdem z różnych opowieści, że miasto jest zaniedbane, brudne, odrapane, że Ukraińcy robią wszystko, by je zmarginalizować, by go odciąć od historii, by mu ująć co się da z jego dawnej, polskiej krasy. Zaskoczenie moje było totalne. Lwów mimo zaniedbań ze strony władz miejskich i państwowych jest kolorowy, czysty, pełen życia, z cudowną operą, kilkoma innymi teatrami, ogromną ilością muzeów, pełen przytulnych kawiarenek, starych tradycyjnych restauracji, a przede wszystkim zadziwia swym niezwykłym bogactwem architektonicznym. W tym średniej wielkości mieście położonym

na obrzeżach kraju, znajduje się tu ponad połowa zabytków całej Ukrainy.

Deptaki miejskie są pełne turystów, przeważnie Polaków. Nie ma tłoku, nie ma zbytniego pośpiechu, ceny śmiesznie niskie (za bilet do opery zapłaciłem 4 kanadyjskie dolary). Chłonąłem to tętno i smaki miasta wszystkim zmysłami. Nie spodziewałem się jednak, że najbardziej emocjonalne przeżycia czekają mnie na Cmentarzu Łyczakowskim i to jeszcze zanim doszedłem do dołączonego do niego Cmentarza Orląt Lwowskich. Jak bardzo Lwów był polski właśnie tu najbardziej widać. Jeden z pisarzy znalazł na tym cmentarzu 141 nazwisk polskich poetów, ktoś inny mówi, że jest tu pogrzebanych prawie 1000 osób o polskim nazwisku i korzeniach, ludzi znanych i zasłużonych. Aleja Zasłużonych cmentarza to prawie wyłącznie nazwiska polskie i niektóre tak znane i ważne dla kultury polskiej, że już w szkole podstawowej słyszałem o nich. Najwięcej czasu spędziłem przed dwoma nagrobkami: malarza Artura Grottgera i pomnikiem rodzinnym Młodnickich i Wolskich. Pomnik Grotgera zauroczył mnie.



Pomnik nagrobny Artura Grottgera.

Dowiedziałem się później, że to dzieło włoskiego rzeźbiarza Parysa Filippi z centralną figurą na nim pięknej, smutnej, rozmodlonej, zamyślonej kobiety. Stałem przy pomniku wystarczająco długo, by się dowiedzieć, dlaczego na grobie mężczyzny dominującą postacią jest kobieta. Wycieczki,

przeważnie polskie, podchodziły i odchodziły, z ust przewodniczek dowiedziałem się, że ta kobieta to jedna z najpiękniejszych kobiet Lwowa, Wanda Monné, wielka miłość Grottgera.

Grottger był synem zubożałego szlachcica, musiał zarabiać na życie wędrując od dworu do dworu malując portrety często niezbyt fotogenicznych właścicieli ziemskich i ich często dość puszystych pań. Sam nie był zbyt urodziwy, wystarczy spojrzeć na jego autoportret. W wolnych chwilach malował i szkicował sceny z tragicznej historii Polski. Te obrazy przyniosły mu sławę, poprzez nie Wanda najpierw poznała malarza. Twarzą w twarz spotkała się z nim w słynnej Strzelnicy na ulicy Kurkowej na balu, gdy miała 17 lat, on był od niej starszy o około 10 lat. Była to miłość od pierwszego wejrzenia i to obustronna, niestety idylla ta trwała niepełne dwa lata.  Panna Monné to dziecko potomka uciekiniera francuskiego przed Rewolucją i kobiety z bardzo starej sięgającej średniego średniowiecza rodziny nadreńskiej. Obie rodziny były od kilku pokoleń w pełni spolszczone.

Niestety rodzice Wandy rozeszli się, nią zajęła się mama i ciotka. Ciotka Teresa Wentz osoba wykształcona, bogata i szanowana założyła we Lwowie Zakład Naukowo-Wychowaczy dla Panien w budynkach zakonu rozwiązanego przez cesarza austriackiego. Była to wyjątkowa instytucja. Uczyły tam najwybitniejsze damskie osobistości Lwowa, było to też miejsce spotkań polskiej

elity tego miasta – to prawdziwa kuźnia polskiego patriotyzmu. Tu Wanda wyrosła na wszechstronnie uzdolnioną, literacko i artystycznie, kobietę. Była prześliczną dziewczyną. Grottger wiedział, że jego życie się kończy, nabawił się gruźlicy płuc, a wtedy to równało się prawie z wyrokiem śmierci. Arystokratyczna rodzina panny nie widziała przyszłości dla Wandy u jego boku, była bardzo przeciwna ich spotkaniom. Spotykali się potajemnie na cichych alejkach Cmentarza Łyczakowskiego, on nawet upatrzył miejsce, gdzie chciałby być pochowany. Wanda słyszeć o tym nie chciała, natchnęła go myślą, że ich miłość dokona cudu, że wygrzebie się z choroby. Uwierzył chyba w to. By zapewnić dostatni byt swej wybrance wyjechał do Paryża, bo w owym czasie tylko tam można było zaistnieć jako artysta. Zaistniał – sam nawet cesarz kupił od niego serię obrazów o tematyce wojennej. Ale choroba nie ustępowała. Wanda listownie wymusiła na nim by przeniósł się do sławnego wówczas sanatorium w Pirenejach francuskich. Zrobił to i tam zmarł. Wanda spieniężyła całą swoją biżuterię, wymusiła na rodzinie, by zgodziła się na sprzedaż części jej posagu, sprowadziła jego ciało do Lwowa, pochowała w miejscu, które wskazał; co więcej, wyszła za mąż za najbliższego przyjaciela jej kochanego, też artystę malarza Artura Młodnickiego, bo tak przed śmiercią zażyczył sobie jej „Arthur". Ciało jej należało do drugiego Artura, dusza zawsze i do śmierci do pierwszego. Drugiemu Arturowi to nie przeszkadzało, sam otaczał zmarłego przyjaciela szacunkiem, graniczącym z

uwielbieniem. Ich dom stał się muzeum-świątynią pamiątek po zmarłym. W tym domu-świątyni przyszła na świat Maria, nazywana od dzieciństwa Marylą, temperamentem, wykształceniem i urodą dorównująca swej wspaniałej mamie.



Portret Wandy Monné Młodnickiej i jej kochanego w tle.



Artur Grottger, Autoportret

Dziwi mnie, że o tej wspaniałej, szaleńczej, niespełnionej miłości tych dwojga ludzi nie powstała jakaś powieść czy film. Fabuła jest pełna, nie trzeba niczego podmalowywać, upiększać, a w tym szaleństwie nie ma jakiegoś melodramatu. To najczystsza, najwspanialsza miłość, co potrafi przenosić góry. Fakty są tu piękniejsze od fantazji. Na takie wyżyny potrafią się wznieść chyba tylko nasi Kresowiacy i to nie tylko w dziedzinie miłości indywidualnej. Dla nich do dzisiaj słowa Ojczyzna, patriotyzm, ofiara i poświęcenie dla Kraju, polskość to ciągle słowa wielkie, święte. W Polsce obecnie deklamują je najczęściej politycy, tak na wyrost, bo  ich czyny i życie niekiedy przeczą temu co wypowiadają usta. Słowa te wśród nas tracą znaczenie, stają się

coraz bardziej słowami wstydliwymi. Jaka szkoda, że granice oddzieliły Kresowiaków od nas. Tak bardzo jest ich nam brak w naszej obecnej, zmaterializowanej Rzeczpospolitej.



Wanda Monné autorstwa Artura Grottgera.

Mała Marylka pod opieką mamy Wandy Młodnickiej, w zakładzie dla panienek z bogatych polskich rodzin Lwowa i okolic, założonego przez siostrę jej babci, czuła się wspaniale, miała

życie „sielskie, anielskie”, była maskotką tej instytucji, znaną całej społeczności polskiej we Lwowie, stanowiła przyszłą doskonałą partię do małżeństwa. Mama przelała całą swą miłość po śmierci Grottgera na nią, dbała żeby ta popularność nie uderzyła jej do głowy, zmusiła ją do intensywnych i wszechstronnych studiów, dbała o jej obycie towarzyskie, prowadziła na wszelkie imprezy patriotyczne. Tak więc to piękne dziecko, obok równie pięknej mamy, stało się od bardzo młodego wieku ambasadorem polskości i patriotyzmu w swoim gronie. Jedną z takich imprez był koncert w 1887 r. we Lwowie Ignacego Jana Paderewskiego. Sala była prawie pusta, bo niewielu wtedy słyszało o tym jeszcze nieznanym pianiście. Czternastoletnia Marylka intelektualnie i emocjonalnie była niemal dorosłą kobietą. Kochała muzykę. Zachwyciła się kompozycjami Paderewskiego i ich wirtuozowskim wykonaniem, ale jeszcze bardziej zafascynowała ją osoba kompozytora-wirtuoza.

Podobnie jak jej mama, która gdy miała 17 lat, zakochała się w Grottgerze, tak i ona będąc jeszcze młodszą pokochała szaloną, romantyczną miłością Paderewskiego. Pianista miał wtedy 27 lat. Był wysokim, przystojnym mężczyzną z burzą rudopłowej grzywy nad czołem, która szalała na tejże głowie razem z jej właścicielem przy wykonywaniu szybszych utworów. To nie było smarkacze dziewczęce zauroczenie, to była prawdziwa miłość. Paderewski nie wiedział chyba o tym, może się tylko domyślał, bo od tej pory Maryla wykorzystywała każdą okazję by się znaleźć

jak najbliżej niego. Szybko stał się sławnym i wyrazy uwielbienia szlachetnie urodzonych dzierlatek stały się codziennością w jego życiu. Uwielbienie Maryli traktował jako należną mu daninę, nie miał zamiaru się w niej zakochiwać. Maryla nie odpuszczała. Kiedy Paderewski był zaproszony na odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, znalazła się tam i ona. Była już w pełni dojrzałą kobietą i jeszcze raz chciała przekonać się o swoich uczuciach po dość długim niewidzeniu Paderewskiego.

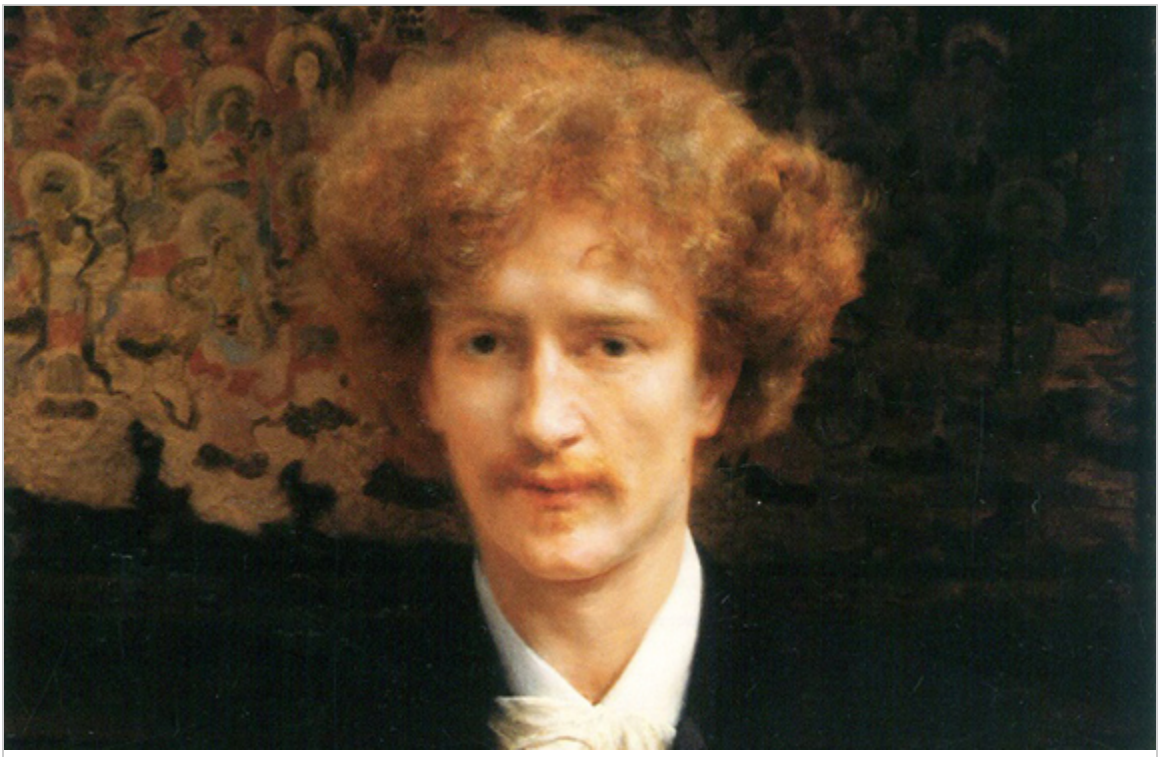

Ignacy Jan Paderewski, w czasie, gdy go poznała Maryla.

Posłuchajmy, co na ten temat zwierza się Elizie Orzeszkowej:

> Wyrwałam się z matką by zobaczyć Warszawę i… Paderewskiego. I przeceniłam swoje siły, zrobiłam źle. Sądziłam, że po latach tylu… potrafię patrzeć już na niego jak na fatamorganę przeszłości – na widmo snów moich dziewczęcych, które przeszły, a dzień trzeźwy, biały dzień dla mojego życia nastał. Ale czar trwa. Kiedy stanął przede mną… miałam wrażenie, którego do śmierci zapomnieć nie zdołam, że mi ten człowiek duszę zabiera na własność.

Duszy nie zabrał, sama mu ją oddała,  on nie kwapił się do zabrania ciała.  Przypadło ono bogatemu Wacławowi Wolskiemu przemysłowcowi, nafciarzowi, inżynierowi i wynalazcy.  Stworzył dla swej nieco szalonej żony wspaniałe warunki bytu. Kupił wielki dom w przeogromnym ogrodzie, w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Lwowa, w pobliżu Cytadeli. Maryla była już malarką i poetką, duszą marzycielską. Dom przy podgórskiej, krętej, małej uliczce odcięty od życia miejskiego gąszczem rozległego ogrodu zachwycił ją, nazwała go „Zaświeciem” – czymś poza zgiełkiem świata. Tu założyła salon dla ludzi kultury. Razem z kilkoma pisarzami, z których najbardziej znanym był Leopold Staff,  stworzyła grupkę poetycką  zwaną żartobliwie „Płanetnicy” (płanetnik to pół człowiek, pół demon, przesuwający chmury po niebie). Była duszą wszystkich zebrań. Biedni poeci, niektórzy jeszcze studenci, chętnie tu przychodzili nie tylko na obrazoburcze dyskusje, słuchanie nowych utworów poetyckich,

ale i dlatego, by się trochę podkarmić. Mąż bardzo się cieszył z tej aktywności swej młodej, uroczej i wyjątkowo pięknej żony. Była prawdziwą muzą ich Zaświecia. Mimo wszystko jej dusza ciągle należała do Paderewskiego. Świadczy o tym choćby ten wiersz miłosny *Ex voto*, a niezbyt znający się na poezji mąż nie domyślał się, że to nie on był jego adresatem:

> Wiem, że nie będziesz dla mnie niczym więcej,
>
> Jak mgłą i snem,
>
> A jednak – w ciszę tę księżycem złotą
>
> Wyciągam ręce z bezbrzeżną tęsknotą
>
> Za widmem twem…



Wacław i Maryla Wolscy.

W kilku podręcznikach literatury polskiej i kilku słownikach do których zajrzałem Maryla Wolska jest wymieniana jako typowa przedstawicielka poezji Młodej Polski, młodszego jej pokolenia. Ten krótki mniej niż 30-letni okres w historii Polski (1890-1918) był jak wybuch wulkanu. Kraj pozbawiony narodowości od stu lat wyrzucał z siebie tłumy geniuszy nie tylko w literaturze, ale w muzyce, sztukach pięknych, architekturze. Co więcej te dziedziny się przenikały: malarstwo przesycone było poezją, poezja zbliżała się do muzyki. W literaturze chodziło o odrzucenie pozytywizmu, materializmu, realizmu, dusza powinna poczuć się wolna, analizować swe subiektywne przeżycia i nastroje. Nastała moda na „nagą duszę" i uprawianie „sztuki dla

sztuki”. W literaturze pięknej najbardziej nowatorską była poezja i to tworzona w różnorodnych konwencjach i stylach poetyckich jak neoromantyzm, symbolizm, ekspresionizm, impresjonizm, nawet dekadentyzm i naturalizm. „Nowymi Atenami” tej burzy artystyczno-intelektualnej był Kraków, ale liczyła się też Warszawa i Lwów. W „Atenach” (Krakowie) zrobiło się ciasno od dziesiątek genialnych twórców, zarówno mieszkańców Krakowa jak i częstych gości. Wymienię tylko kilka nazwisk: W. S. Reymont, L. Rydel, T. Żeleński-Boy. A. Asnyk, J. Kasprowicz, K. Przerwa-Tetmajer, S. Żeromski, S. Wyspiański, S. Przybyszewski i dziesiątki innych.

Maryla Wolska miała ważniejsze zainteresowania niż pisanie poezji, a gdy wydała od czasu do czasu tomik, był to rodzaj jej prywatnego konfesjonału, było to rozgryzanie swej duszy i osobowości, a w trudnych okresach życia powrót do swych cudownych lat młodości. W tomikach *Thème varié, Symfonia jesienna, Święto słońca, Z ogni kupalnych* dominuje poezja bardzo prywatna, zamknięta w sobie, o wysokiej kulturze literackiej, w wyrazie nie tylko dyskretna, ale i subtelna. Motyw niewspółmierności między marzeniem a spełnieniem jest stałym elementem w jej wierszach. Oto jedna zwrotka wiersza ilustrująca te nastroje:

> Kocham czar wspomnień, smutny wdzięk dawności,

> Woń starych dworów, pustki i lawendy,
>
> Roztwory wielkich szklanych drzwi – bez gości,
>
> Myśl, że tak wiele życia przeszło tędy.

Innym głównym motywem jej twórczości to szukanie drogi życiowej i nieskrępowanej przez nikogo wolności wewnętrznej. Tak to wyraża:

> Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,
>
> Ścieżką idzie samotna, wolna, jak ptak w lesie,
>
> W pas się słońcu jednemu kłania o poranku.
>
> Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce;
>
> Własna swoja, niczyja, nieznana nikomu,
>
> W zaświat boży swe serce poniesie dziewczęce,
>
> Niby malin, wieczorem, pełen dzban, do domu.

Maryla od dziewiątego roku życia zagrożona była chorobą płuc, dużo czasu z racji leczniczych dla zdrowia spędziła w cudownych okolicach w Sole, potem w Storożkach na wzniesieniu nad rzeką z widokiem szczytów górskich – już jako mężatka przebywała w równie malowniczych Perepelnikach, w dworku i majątku ziemskim odziedziczonym przez męża po śmierci bezdzietnych kuzynów. Uroki tego miejsca odkryli Płanetnicy – gwarno było w tym dworku w czasach letnich. To miejsce stało się potem przeklętym dla niej miejscem, bo w 1919 r. nacjonaliści ukraińscy w bestialski sposób zamordowali jej gospodarującego tam najstarszego syna Ludwika. Zawalił się jej świat. Śmierć goni śmierć. W trzy lata później umiera jej mąż, rok później matka, znowu trzy lata później najmłodszy syn Juliusz. Do jednej z przyjaciółek pisze: „Skończyło się Zaświecie, jest tylko cmentarz". Został jej tylko średni syn Kazimierz, który po starszym bracie przejął majątek w Perepelnikach. Córka Beata, malarka, wychodzi za zubożałego ziemianina Józefa Obertyńskiego, córka Aniela, poetka, za Michała Pawlikowskiego, członka bardzo zasłużonej rodziny dla kultury polskiej.



Goście Wolskich w Zaświeciu. Stoją Antoni S. Mueller i Józef Ruffer. Siedzą Leopold Staff i Ostap Ortwin, fot. cracovia-leopolis.pl



Maryla Wolska w Storożce.

W okresie dziesięciolecia po r. 1918 Maryla nie tworzyła. Głównym jej zajęciem była walka o przetrwanie swoje i rodziny oraz niesienie czynnej pomocy dla potrzebujących w umęczonym Lwowie. Za pióro chwyciła dopiero w 1929 r. wydając tomik swych najdojrzalszych wierszy p.t. *Dzbanek malin.* Niczego już nie chce od życia, chce wyzwolenia i by jej nowa „ojczyzna” była podobna to tej uroczej z lat dziewczęcych:

> Moje niebo musi pachnieć świerczyną,

> W moim niebie będą lasy i góry
>
> – I rzeka tam szumieć powinna,
>
> Ta jedna, jedyna ona,
>
> Jak żadna inna Zielona…

Chodzi tu o rzekę spod Storożki. Maryla umiera 25 czerwca 1930 r. nie gdzie indziej, tylko w swoim „Zaświeciu”, który zachował się do dzisiaj, no i pochowana jest nie gdzie indziej tylko na cmentarzu Łyczakowskim. Przed śmiercią zdążyła jeszcze opublikować dwutomowe dzieło  listów i pamiętników swej matki i Artura Grottgera, za co historycy, literaci, artyści są jej niezmiernie wdzięczni.

Na wspomnianym cmentarzu długo stałem przed obeliskiem z czarnego kamienia nad grobem tej wspaniałej kobiety i jej równie wspaniałej matki oraz ich mądrych, wyrozumiałych mężów, którzy dyskretnie stworzyli im warunki do pełnego rozwoju. Dumałem nad tym, że matka ziemia nie tylko zabiera urodę, ale i wycisza najgorętsze serca, najwspanialsze umysły. No cóż! „Z prochu jesteśmy, w proch się obrócimy” – to nieubłagane prawo natury.

# Tropami Federica. Część II.



Federico Garcia Lorca

**Florian Śmieja**

Zmysłowość jest zasadniczą cechą poezji Lorci, prawdziwego

syna Andaluzji. Ale nie jest to erotyzm wyuzdany czy swoboda fizyczna, ale raczej przerażająca, bezwzględna siła pożądania. W literaturze hiszpańskiej nic to nowego. Źródła można szukać we wczesnym arcydziele “Libro de buen amor”. Jeszcze pełniej wypadła zmysłowa tragedia “La Celestina”. Nie brak cielesności u Lope de Vegi, w powieściach łotrzykowskich, u Góngory, Queveda. U Tirsa de Molina zabłyśnie w transcendentalnym świetle w sztuce “El burlador de Sevilla” i stworzy Don Juana, wejdzie w fazę romantyczno-mistyczną z Espronceda, Larrą i Becquerem. Wielkim jej eksponentem przed Lorcą był Ruben Dario.

U Lorci jest ona czysto cielesna, gwałtowna jak huragan, jak rozhukana rzeka podziemna. Niemniej, jest naturalna i spontaniczna. Wypowiada ją poeta ze szczerością łącząc ją z przesłankami teologicznymi. Stąd nierozerwalność trzech motywów: śmierci, życia zmysłowego i religii. W założeniach poeta nie odbiega od tradycyjnych zasad: honoru mężczyzny i dziewictwa kobiety. Jeżeli w niewydanym zbiorze “El divan del Tamarit” opiewana miłość jest inna, odcieleśniona, w dużej mierze należy to przypisać platonizmowi poetów arabskich południowej Hiszpanii.

Pięknym, przykładem platonizmu jest kasyda o czystości Abenfaracha z Jaen (+876). Między innymi mówi on: “I tak noc z nią spędziłem jak spragniony młody wielbłąd, któremu uzda ssać

nie pozwala”. A dalej: “Bo nie jestem jak zwierzęta rozwiązłe, które ogrody biorą za pastwisko”.




Śmierć jest obsesją Hiszpanii. Istnieje powiedzenie, że umarły jest w Hiszpanii bardziej umarły, niż gdzie indziej. Wybitny poeta Antonio Machado w elegii na śmierć Lorci powiedział:

> Widziano go, jak szedł z nią sam
>
> Nie lękając się jej kosy

Nie ma w tym ani odrobiny licencji poetyckiej. Lorca mając dziewiętnaście lat pod wpływem Whitmana pisał:

> Krew moja niech na polu będzie

> Różowym i słodkim mułem
>
> W który swe motyki wbiją
>
> Utrudzeni wieśniacy

Tak się miało stać. Lecz zanim śmierć go zabrała, poeta zmagał się z nią niestrudzenie. Poświadczenie znajdziemy w jego dziełach na każdym kroku, życie u niego nie istnieje bez odniesienia do śmierci.

> Nie ma człowieka, który by przy pocałunku
>
> Nie czuł uśmiechu ludzi bez twarzy

Lorca widzi, jak wszystko, co żyje, zmierza ze spuszczoną głową do bramy śmierci. Wzdryga się przed jej okropną rzeczywistością. Jego Cygan chce umrzeć na żelaznym łóżku w białych prześcieradłach. Najpełniej wypowie się w trenie na śmierć swojego przyjaciela toreadora. Z okrzykiem “nie chcę na nią patrzeć” pokazuje nam krew na piasku i prawie że lubuje się w okrutnym rozpatrywaniu symptomów śmierci:

> Teraz mech i trawa
>
> Wprawnymi palcami otwierają
>
> Kwiat jego czaszki.

Podobne cechy nosi opis śmierci św. Eulalii. Patrząc na wystawione ciało przyjaciela wzywa mężów nieustraszonych, aby przybyli popatrzeć na zwłoki, by mogli wskazać wyjście dla junaka związanego przez śmierć. Wyjścia nie ma: trzeba się do śmierci przyzwyczaić.

Skoro śmierć niszczy życie, a ujść nie sposób, należy dopracować się lekceważenia, na jakie śmierć zasługuje. W ten sposób można jej narzucić swoją wolę. Przypomina to Rilkego. Wiele zbieżności odkryjemy również z rozmyślaniem Unamuna wyłożonym w "Tragicznym sensie życia".

R.M. (znajomy poety, jeden z wykładowców Floriana Śmieji na King's College w Londynie, przyp. red.) nadal pisze, że Lorca nieraz po sukcesach swoich w przyjacielskich rozmowach dawał wyraz obsesji śmierci i smutku człowieczych spraw. Śmierć jest obsesją narodu hiszpańskiego. Wystarczy myślą sięgnąć wstecz do średniowiecza, do teatru Złotego Wieku, do malowania śmierci przez Kościół, do apoteozy gwałtownej śmierci z jej jakby

mistycznym zapachem krwi.: *me muero porque no muero*. Lorca postanowił żyć patrząc śmierci ustawicznie w oczy i przetrwać stawszy się częścią trwającego świata. To zapamiętałe pragnienie przetrwania widział w miłości matek do dzieci. Często wprowadza kobiety do swych sztuk, ale nie ma dla nich zwycięstwa. Trymfuje śmierć i klęska.

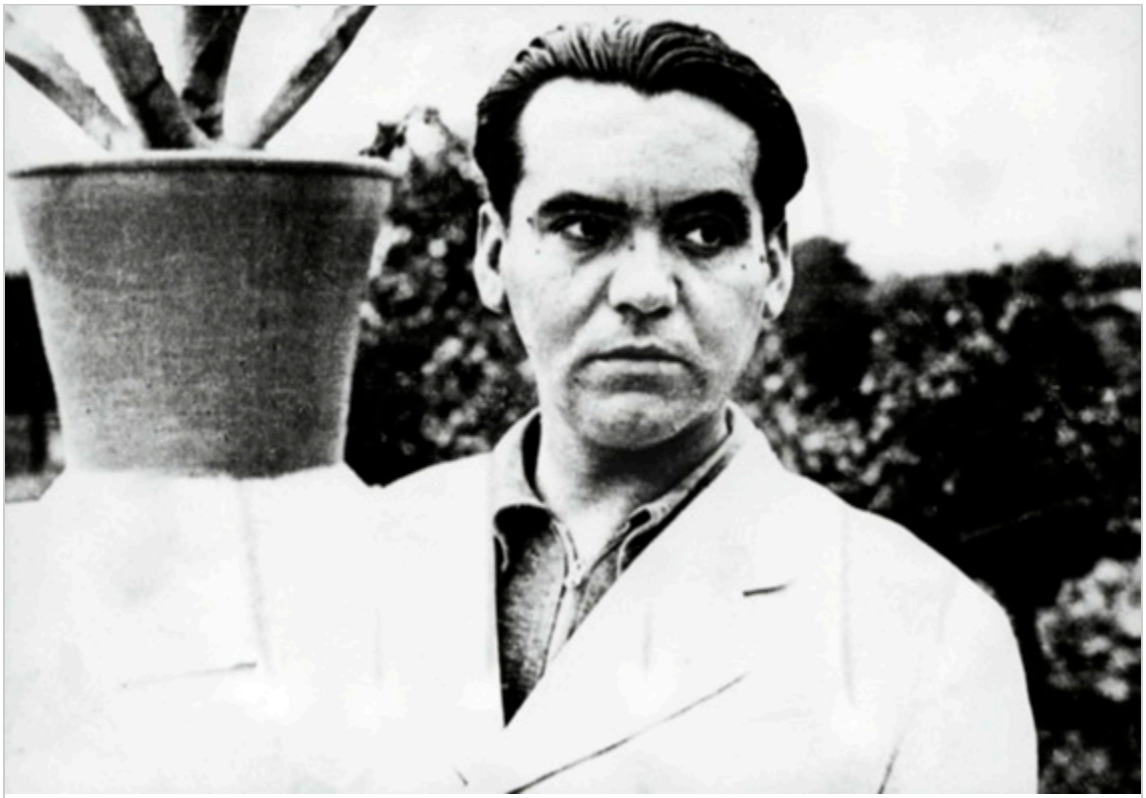

F. G. Lorca, 1935 r., fot. New Yorker.

Poeta wychowany w atmosferze katolickiej nigdzie w swej literackiej spuściźnie nie zostawił śladu wiary w zmartwychwstanie i życie chwalebne. Samotnie zmagał się ze śmiercią. Strachu nie próbował nawet łagodzić religijną pociecha. Jest adwokatem śmierci nieustraszonej. Człowiek

potrafi umrzeć tak, że zabija własną śmierć. Taki człowiek musi prowadzić życie czyste i prawe.

Lorca wyrósł w tradycji andaluzyjskiego katolicyzmu. Jako dziecko brał czynny udział w życiu religijnym swego regionu. Wiemy, że lubił chodzić w procesjach, że malował Madonny, że budował ołtarze i "odprawiał" nabożeństwa. Już w młodzieńczych utworach zmaga się z tajemnicami życia wołając:

> Powiedz mi Panie,
>
> Boże mój
>
> Zali nas pogrążysz w ciemności
>
> Przepaści?
>
> Albo jesteśmy ślepymi ptakami
>
> Bez gniazd?

Element religijny jest jakimś prostym uczuciem, nieokreślonym, ale czystym. Często będą to reminiscencje z lat dziecinnych, opis figur świętych, archaniołów, malutkiego Dzieciątka. Już w 1918 pisze tak:

> Czymże jest święty chrzest
>
> Jeżeli  nie Bogiem pod postacią wody
>
> Kiedy nam czoło namaszcza
>
> Swoją krwią łaski

Z wiersza jego pisanego rok później bije obawa przed złem, które wbrew własnej woli rodzi się w duszy. “Złe jest me serce, Panie, czuję nieugaszony ogień grzechu”. Kłosy zboża i posrebrzone pagórki, to duch Chrystus, który jest pokarmem w życiu i w śmierci. W innym wierszu w ujmujących słowach mówi, że pójdzie daleko aż po gwiazdy do Chrystusa i poprosi Go, by mu wrócił duszę pełną legend, czapkę z piórem i drewnianą szabelkę.

W “Romancero Gitano” poeta wraca do rodzinnej Andaluzji. Motywy religijne – częste – będą więc nosiły piętno tej ziemi. Sięga z wdziękiem do tradycyjnych obrzędów i pobożności bractw religijnych Opisuje sceny i komponuje pieśni na wzór śpiewanych podczas procesji Wielkiego Tygodnia. Wtedy bowiem stowarzyszenia religijne oprowadzają swoich patronów po ulicach rywalizując między sobą w wyszukanych komplementach. Często w gorączce uwielbienia dla swojego świętego nie

szczędzą słów cierpkich dla rywali lub co najmniej okazują im niechęć. Bywa, że dochodzi do starć na świece i drewnianą broń "rzymskich" żołnierzy. O archaniołach będzie mówił jak galant, święta Rodzina jest na cygańskim jarmarku. Zgubiła swoje kastaniety. Matka Boska nosi suknie burmistrzowej i opiekuje się sierotami po zastrzelonych Cyganach. W historycznej romancy podejmuje znany temat męczeństwa św. Eulalii z Meridy. Spod jego pióra wyszedł poemat na wskroś oryginalny, o jaskrawej plastyczności, śmiałych obrazach, zuchwały i okrutny. Wydaje się czytelnikowi, że patrzy na rozkrwawione obrazy malarzy średniowiecznych lub na galerię obrazów w kartuzji w Granadzie.

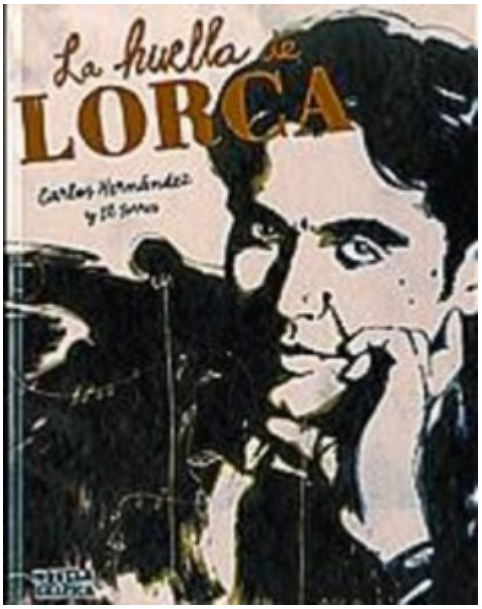


Myśl religijna Lorci najwyraźniej występuje w "Odzie do Najświętszego Sakramentu". Cała kwintesencja sentymentu poety jest tam obecna. W żadnym innym wierszu o tematyce lub aluzjach religijnych nie znajdziemy tyle szczerego ciepła i wyrazu matczynej czułości. Chrystus poety to Dzieciątko "zziajane i nagie, ścigane przerz sześć rosłych byczków". W chaosie świata widzi Sakrament Ołtarza jako symbol pokoju i porządku. "Świecie – woła – już masz cel, niezmienny Sakrament miłości i dyscypliny".

Poeta nie był wrogiem religii. Utworów jego nie sposób zrozumieć bez uwzględnienia katolickiego, choć może dalekiego, podłoża. Takich sformułowań jak "krzyż (cel ostateczny drogi)", "człowiek – to anioł upadły, biedna i gorzka istota" czy "Wezwij Marię, bo umierasz" nie brak. Znajdziemy z drugiej strony stosunek krytyczny do katolicyzmu hiszpańskiego.

Religia często u Lorci łączy się ze zmysłowością. W Hiszpanii czystość utożsamia się z świętością. Rygorystyczne posunięcia Kościoła powodują reakcje i nieraz prowadzą do wynaturzeń. Dość powiedzieć, że powstaje pewnego rodzaju erotyzm religijny, ubieranie figur świętych, kontemplacja wizerunków, spotyka się typ kobiety, starej panny, która chodząc koło dewocjonaliów zatruwa ciągłymi podejrzeniami życie innym.

Choć więc poezje Lorci o tematyce czy tle religijnym reprezentują myśl ortodoksyjną, daje się w nich wyczuć zbuntowaną siłę, potrącanie o wykrzywione, skryte erotyczne pierwiastki pod pozorem religii.

Hiszpania jest narodem poetyckim. Poezja żyje w narodzie, a nie jest tylko okrasą akademii albo przedmiotem snobizmu. Jest nierozerwalna z życiem, wspólna całemu narodowi, prawdziwa arka przymierza. W takim klimacie wiersze Lorci są przystępne, ale trudne dla czytelników nie znających podłoża hiszpańskiego i niezliczonych odnośników, aluzji, reminiscencji, skrótów

poetyckich i węzłów skojarzeniowych. To osadzenie poety w języku ludowym stawia tłumacza w sytuacji kłopotliwej. Jeśli uwzględnimy bezpłodne próby “wytłumaczenia” passusów, które albo są dwuznaczne, albo sensu nie dają, otrzymamy pełny obraz niewdzięcznego trudu, jakim jest tłumaczenie Lorci.

Jaka jest pozycja Lorci po latach? Dzięki swym przyjaciołom i wielbicielom zyskał rozgłos światowy. Spuściznę pośmiertną wydrukowano, poezje i dramaty przełożono na wszystkie ważniejsze języki świata. Zaczęły się pojawiać monografie. Świat złożył hołd wielkiemu poecie Andaluzji. Lud hiszpański nadal recytuje i śpiewa jego ballady. Zamordowanie poety w czasie wybuchu rebelii ułatwiło komunistom wynoszenie poety na piedestał ideowego męczennika. Jego ludzką miłość uciśnionych i prześladowanych pomalowano na czerwono, jak gdyby nie była ona naturalnym dążeniem człowieka. Opędzał się Lorca jak mógł przed partyjnym stempelkiem. Znamienne jest jego oświadczenie: jestem anarchistą, komunistą, liberałem katolickim, tradycjonalistą i monarchistą.

W Polsce o tym się zapomina. Nie pozbawiona jest ironii wypowiedź o braku tematyki republikańskiej w twórczości Lorci z lat trzydziestych:

> …Próżno byśmy szukali w jego sztukach bezpośredniego

> odbicia współczesnych wydarzeń. Jak wiadomo, kręte są drogi, jakimi aktualność przenika do dzieła sztuki.

Natomiast nadal mówi dobitnie, że "żaden protest przeciw używaniu nazwiska Lorci dla celów propagandowych nie jest dosyć ostry". Stanowczo potępia krytyków, którzy w poecie widzą niebezpiecznego agitatora, nadużywającego talentu celem zbałamucenia mas. Na dowód przytacza zdarzenie, któte miało miejsce w 1935 r. Wystawienie mieszczańskiej sztuki "Panna Rosita" w Barcelonie dała pretekst do politycznych demonstracji. Dowiedziawszy się o tym poeta był oburzony: "Mają mnie za głupca, czy co? Z mojej 'Rosity' robią politykę? Ja na to nie pozwolę". Był poetą ludowym, ale nie w sensie klasowym, był poetą całego narodu hiszpańskiego.

Nie ulega już dziś najmniejszej wątpliwości, że jego romance tkwią dobrze pod hiszpańską "strzechą". Nic ich stamtąd nie wyruguje. Natomiast różne grupy purystów zaczęły podważać ich wartość. Poczęto jego poezję oskarżać o łatwe "clichés", o schlebianie smakowi (czy jego brakowi) ludu, o pogoń za egzotyką. Jakby świat cygański był szopką czy jarmarcznym kramem dla turystów. Lorca znał Cyganów, jak żaden inny poeta i uważał ich świat za nieodłączną część Andaluzji. To prawda, że szczególnie upodobał sobie  pewne obrazy poetyckie. Przeplatają one całą jego poezję. Ale często są ciemne, trudne,

niezrozumiałe. Nie one więc są kluczem do jego popularności, ale wątki o zazdrości, honorze, namiętności, o śmierci i o walce. Są one mocno osadzone w poetyckiej tradycji narodu, pisane w ulubionych rytmach, których kadencje każdemu Hiszpanowi tkwią we krwi. Popularność nie świadczy jeszcze o wartości dzieła sztuki, wszakże dzieła największe nigdy jej pozbawione nie były.

Jeśli Lorca spotkał się z zazdrosną krytyką przedstawicieli „współczesnych literackich herezji", od których trzymał się z dala, to nieraz zbierał szczodre oceny przodujących krytyków. Damaso Alonso widzi w nim uosobienie poety hiszpańskiego. Niedwuznacznie przypisuje mu intuicyjne wyczucie form ludowych i tradycyjnych oraz absolutną wierność psychologii narodowej i indywidualnej charakterów. W jego poezji znajduje krytyk duszę Hiszpanii, andaluzyjską, cygańską, romańską, skoncentrowaną, zapach i światło i rytm. Oto raz jeszcze Hiszpania się wypowiedziała. Od czasów Lope de Vegi nie było takiego poety.

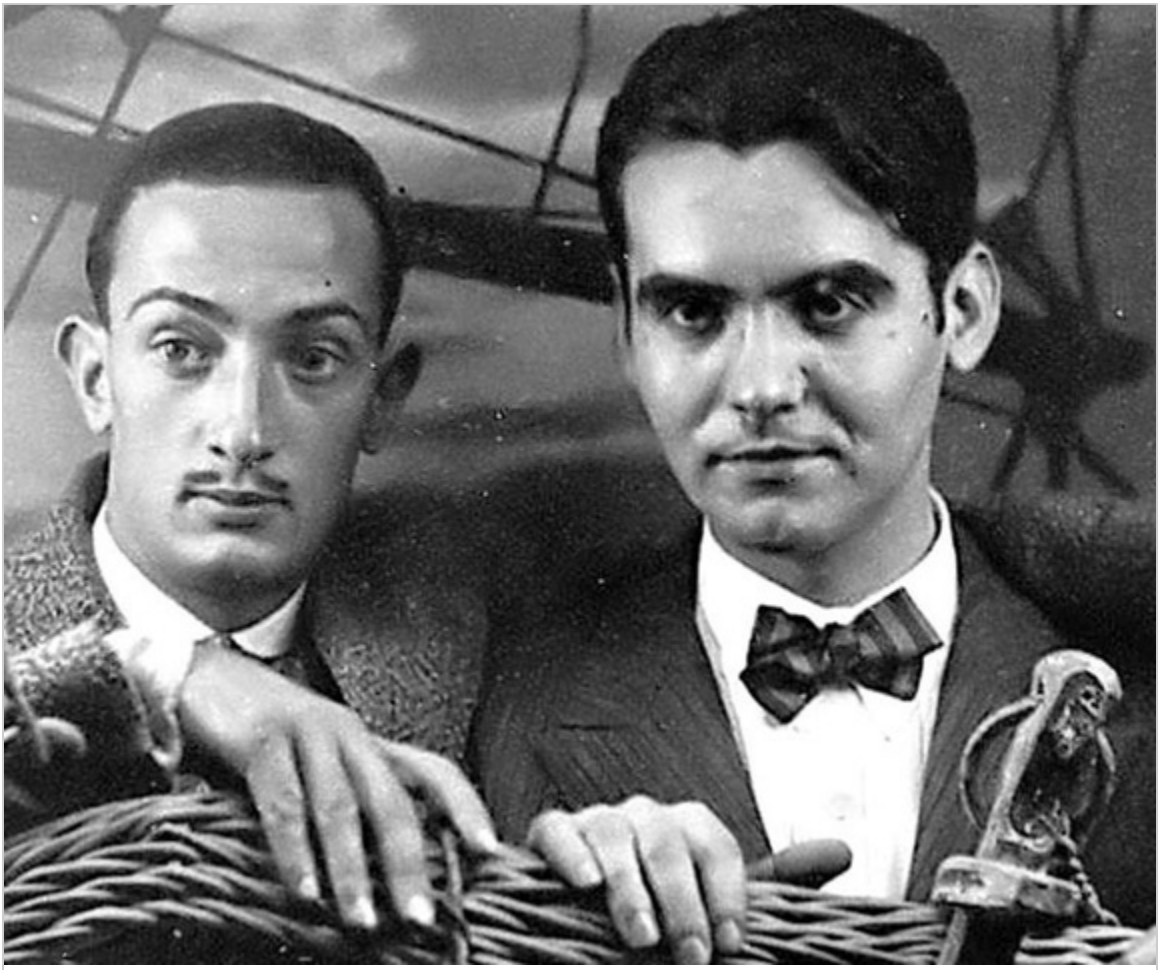

Salvador Dali i Federico Garcia Lorca.

W 1927 roku w Barcelonie w dekoracjach Salvadora Dali, Lorca wystawił sztukę “Mariana Pineda” bez powodzenia. Brak sukcesu uzmysłowił mu potrzebę zrezygnowania z tematów historycznych ubranych w romantyczną retorykę, a szukania współczesności i prostoty. Doświadczywszy psychicznego szoku w zderzeniu z wulgarnością architektury Nowego Jorku i nieludzkości amerykańskiej cywilizacji, uszedł w cudowną farsę pisząc dwuaktową komedię “La zapatera prodigiosa”. Wrócił w niej do andaluzyjskiej tradycji ludowej i nakreślił jedną z

niezapomnianych postaci kobiecych, którymi zaludni przyszłe sztuki.

Mnie ta czarująca szewcowa również ujęła przekornym wdziękiem i tanecznym rytmem. Mój przekład pod tytułem "Przedziwna szewcowa" acz dokonany w Londynie miał szczęście doczekać się inscenizacji. Wystawiła go z wielkim ferworem amatorska grupa "Pro Arte" pod entuzjastycznym kierownictwem oddanej i energicznej Olgi Żeromskiej. Dzięki niej publiczność teatralna polskiego Londynu zobaczyła ambitne współczesne sztuki nieraz świeżo przełożone dla Olgi. Myślę tu m.in. o przekładzie irlandzkiej sztuki Synge'a dokonanej przez Wojciecha Gniatczyńskiego.

"Szewcową" w jej inscenizacji i reżyserii wystawiono dwanaście razy. Jan Bielatowicz poświęcił prezentacji sztuki obszerną recenzję, której kluczowym zdaniem było stwierdzenie:

> Wystawienie „Przedziwnej szewcowej" Lorci można uważać za prawdziwe teatralne zdarzenie, mimo wszystkich i licznych błędów.

Za jeden z nich uważał włączenie do sztuki tańców hiszpańskich "rozrywając tym ich ciągłość i odwracając uwagę od cienkiego przędziwa farsy-moralitetu". Miał też zastrzeżenie do tytułu

mojego przekładu oraz do jego zbyt małej giętkości i braku śmiałości, obawy przed przesadnym spolszczeniem.

Mimo umiejscowienia komedii w Andaluzji sam Lorca zapewniał, że

> koloryt sztuki jest przypadkowy, a nie zasadniczy…Ja sam mogłem tę alegorię umieścić wśród Eskimosów. Słowa i język mogą być andaluzyjskie, ale nie treść.

A także:

> Szewcowa oczywiście nie jest jakąś szczególną kobietą, ale wszystkimi kobietami", "Wszyscy widzowie mają w sobie coś z Szewcowej.

Lorce dramaturgowi największy rozgłos przyniósł tryptyk wiejskich dramatów. W 1933 roku powstało "Krwawe wesele" (część tekstu w paryskiej "Kulturze" wydrukował Józef Łobodowski w 1948 roku). Ta poetycka sztuka w trzech aktach rozgrywa się w czasie wesela na wsi. Panna Młoda ucieka z dawnym narzeczonym, a w czasie pogoni obaj rywale giną w walce na noże. Scena ostatnia pełna liryki przenosi osobistą

tragedię na ogólnoludzkie wyżyny pokazując, że śmierć należy do życia:

> Sprawiedliwie było.
>
> Na złoty kwiat, brudny piach

Wstawienie chórów, zawiła symbolika spowalniają akcję, lecz ta ambitna sztuka zaprowadzi do kolejnej, oszczędniejszej już i bardziej harmonijnie skomponowanej akcji "Bezpłodnej" (*Yerma*). Wierna mężatka nie doczekawszy się dziecka, morduje obojętnego męża.

W końcu Lorca napisał "Dom Berrnardy Alba" o niepomiernie większej sile dramatycznej i najdalej posuniętej oszczędności środków. Wystawienia tej sztuki już się nie doczekał.



Albaicin, Granada

Ostatniego wieczoru mojego pierwszego pobytu w Granadzie szukałem w ciemności drogi na wzgórze Albaicin. W towarzystwie znudzonego Anglika i francuskiego małżeństwa, mądrali o nabitym, trzosie i wystrojonej ignorancji, przyglądałem się tańcom i słuchałem muzyki Cyganów. Bielusieńka grota obwieszona miedzianymi sprzętami i fotografiami stała się parna od bujnego śpiewania i wytupywania rytmów. Serie kastanietów szyły powietrze niemiłosiernie, ciała poruszały się drapieżnie.

Schodziłem z Albaicin ciemnym korytem zawodzeń gitary dzierganej namiętnymi palcami. Myślałem o Lorce. Tu właśnie profesor Trend z Cambridge w 1919 roku poznał poetę podczas fiesty muzyki i tańca i uległ czarowi jego gorącego zmąconego głosu. Po duchowej biesiadzie o czwartej nad ranem Trend

schodził z Albaicin z Lorcą pod ramieniem. Ja szedłem sam.

> O Antonio Torres Heredia.
>
> Któż to pozbawił cię życia
>
> W pobliżu Guadalquiviru?

Śmiem wierzyć, że zelanci w Viznar uszanowali godność poety i wyświadczyli mu ostatnią hiszpańską przysługę pozwalając zapalić papierosa, by w ten sposób mógł okazać pogardę dla śmierci i ducha, którego padał ofiarą. Duch ten nie zwiastował nadejścia “królestwa kłosu zboża”.

Ale Lorca przewidująco pisał również o trzech tysiącach ludzi, którzy uzbrojeni w połyskujące noże przyszli zamordować słowika.

# Miłość po szkocku. Australijskie początki. Nowy Rok 1968.

*Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica". Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.*




Fremantle, ulica, lata 60., fot. pinterest.com

**Anna Habryn**

## Rozdział 3

Mary stała przy relingu z Mandy na rękach i patrzyła w dół. Gdzieś tam, na nabrzeżu, w sporym tłumie oczekujących, byli jej bliscy. Nie mogła odróżnić żadnej twarzy. Poranne słońce było

zbyt jaskrawe. Statek stał już od wczorajszego wieczora przycumowany do nabrzeża, ale dopiero teraz opuszczono trapy i na pokładach zaczęła się bieganina.

Pasażerowie już od kilku dni przejawiali pewne zdenerwowanie i rozdrażnienie. W miarę zbliżania się do Fremantle zaczynały w nich kiełkować jakieś wątpliwości, bo słyszało się zapewnienia, że po odpracowaniu dwóch lat kontraktu na pewno wrócą do domu, do Anglii czy Szkocji.

A teraz cały tłum stał i czekał, przestępując z nogi na nogę. Głośniki jeszcze raz przypominały, jakie dokumenty należy przygotować, w jakim kierunku się udać. Grantowie stali z boku, nie spieszyli się.

Bill krzyknął:

– Jest La-la! – i zaczął machać ręką. Mary wytężyła wzrok. Tak, chyba matka, w białym kapeluszu. Obok drugi, podobny – Sandra! Jest i Jan. Poczuła się szczęśliwa. Tam, na tej ziemi, czeka na nich rodzina, najbliżsi, dom. Wreszcie są znowu razem. (…)

Pierwszym zaskoczeniem było zimno. Kurczyli się w swoich wiosennych płaszczykach. Mary myślała: *dobrze, że zapakowałam wszystkie swetry*.

Drugie zaskoczenie: dom matki i Jana był ciasny. Miał dwie duże sypialnie i mały pokój urządzony od tyłu, na werandzie wychodzącej na ogród. Był na pewno za mały dla dziewięciu osób. Po uroczystym obiedzie Sandra wyniosła się spać do koleżanki i matka była z tego powodu wyraźnie niezadowolona.

– Nie przejmuj się – powiedziała siostra do Mary – nie musi ci być przykro. Bardzo się cieszę, że jesteście. A spanie u koleżanki to dodatkowa atrakcja – i roześmiała się szczerze. (…)

Rano obudziły ją odgłosy ostrożnej krzątaniny. Wciągnęła na siebie szlafrok i kuląc się z zimna powędrowała do kuchni. Jan szykował sobie kanapki do pracy. Za oknem było zaledwie szaro. Uśmiechnął się do niej:

– Jak się spało? Woda gotowana, zrób sobie śniadanie. Ja już muszę iść, bo mi ucieknie autobus. (…)

Nasypała sobie kawy, nalała wody do kubka i po wyjściu Jana siadła przy stole. W kuchni było dosyć ciepło. Nie chciała nikogo budzić o tej szarej godzinie.  (…)

Dzieci pojawiły się w kuchni dość wcześnie, głodne i gotowe ruszać na zwiedzanie okolicy. Mary poszperała w szafkach i w lodówc*e*, zrobiła im śniadanie, ostrzegła, żeby nie zapuszczali się za daleko:

– Te ulice są wszystkie do siebie podobne. Uważajcie, żeby nie zabłądzić. Pamiętacie nasz adres?

Pamiętali i cała trójka jej synów ruszyła z hałasem na podbój Australii.  (…)

Słońce świeciło pięknie i zrobiło się już zupełnie ciepło. W ogrodzie stał mały blaszany domek z okienkiem w drzwiach, pod wielkim drzewem. Westchnęła: wanny nie było. Z drugiej połowy tylnej werandy zrobiono pralnię, był tam też prysznic, a wodę grzało się w metalowym cylindrycznym zbiorniku, pod którym palono drewnem. Trzeba napalić. Było oczywiste, że Mary przejmuje obowiązki gospodyni: będzie palić, gotować, sprzątać. Jak w dzieciństwie?

Charlie pojawił się drugiego dnia, bo był zapracowany. Z czułością powitał siostrę i szwagra, obiecał, że w następną sobotę zabierze ich do siebie. Lily nie może się doczekać, żeby ich znowu zobaczyć, ale dzieci są trochę chore… Na razie Charlie przyjechał zabrać ich na zwiedzanie miasta. Przyjechał swoim nowym dużym Chryslerem i chłopcy byli  zafascynowani maszyną – i wujkiem, którego prawie nie pamiętali. (…)



Perth, ulica St. George.

Samo miasto nie zrobiło na nich wielkiego wrażenia. Przejechali główną ulicą *St. George`s Tce* czyli „Świętego Jerzego”, między kilkupiętrowymi biurowcami. Niektóre pamiętały czasy królowej Wiktorii i zachowały swój angielski styl. Za niewysokim murem, w pięknym ogrodzie krył się – widoczny lepiej od strony rzeki – stylowy, choć niewielki pałac gubernatora. Obok niego, w parku, który wziął swą nazwę *High Court Gardens* od surowych czerwonych budynków Sądu Najwyższego, budował się nowoczesny, betonowy budynek Rady Miejskiej. Obok były banki, hotele, wielka drukarnia i redakcja miejscowej gazety, wszystko

na jednej ulicy. U jej końca, na wzgórzu stał podłużny, szary, dwu- czy trzypiętrowy budynek parlamentu, a od niego w stronę rzeki rozciągał się *Kings Park*, z aleją wielkich eukaliptusów, z których każdy posadzony został na pamiątkę żołnierza poległego na wojnie. Była to długa aleja, a każde drzewo miało tabliczkę z imieniem bohatera. To zrobiło na wszystkich wrażenie, choć nie przywoływało smutku cmentarzy.

Widok z urwistego brzegu na szeroko rozlane wody, gdzie łączyły się dwie rzeki, Swan i Canning, szerokim korytem uchodzące wspólnie do oceanu, gdzieś za horyzontem, we Fremantle, ten widok zaparł im dech w piersiach. Na błękitnej wodzie bieliły się żagle jachtów. Siedli na trawie i patrzyli, zachwyceni. Dusza Mary śpiewała: oto Australia! Szeroki, wielki, wspaniały kraj. Trzeba tylko znaleźć w nim swoje miejsce.

Najprędzej udało się to chłopcom. Poszli do szkoły razem, oczywiście do innych klas, ale w tym samym kompleksie barakowych budynków ze wspólnym boiskiem, gdzie spotykali się na każdej przerwie. Na lunch wracali do domu: mieli godzinę przerwy, a szkoła była na sąsiedniej ulicy. Połykali szybko, co Mary przygotowała – i zdawali sprawozdanie ze szkolnych wydarzeń.

Pierwsze tygodnie były dla nich ciężkie. Poszli do szkoły w swoich ubraniach przywiezionych ze Szkocji. Natychmiast

znaleźli się pod obstrzałem szyderstw. Wyśmiewano ich buty, krzyczano za nimi: „*pommy*!” – każdy przybysz z Anglii był przezywany „*pommy*”. Dopiero, kiedy we trzech stawili czoła prześmiewcom i rozbili kilka nosów, zaakceptowano ich wyjaśnienia, że oni nie są „*pommies*”, oni są ze Szkocji. (…)

Po kilku dniach chłopcy wyrzucili swoje „angielskie” buty i zaczęli nosić „japonki” jak inni koledzy z klasy. Krótkie popelinowe spodenki i trykotowe koszulki zastąpiły te – tak porządnie wyglądające, zdaniem Mary – blezery, noszone przez uczniów w Auchtertool. Jej synowie zaczęli domagać się kanapek ze słoną, brązową mazią zwaną *Vegemite* albo z masłem orzechowym, a po kilku tygodniach zaczęli przejmować specyficzny sposób australijskiego artykułowania samogłosek, tę wymowę bezskutecznie tępioną przez nauczycieli. A także – wyśmiewaną pogardliwie przez La-la. Babka i ojciec byli tu jednego zdania: australijski akcent jest znakiem australijskiej głupoty. Alan, najmłodszy z synów Mary i ulubieniec babki od wczesnego dzieciństwa, był skłonny bezkrytycznie akceptować jej sądy, ale dwaj starsi,Willie i Brian, ignorowali krytykę, co drażniło babkę i ojca jeszcze bardziej. Mary zaś z niepokojem obserwowała rodzący się pierwszy konflikt rodzinny. (…) Kiedy po trzech tygodniach Grantowie wynajęli niedaleko domek dla siebie – było już za późno.

Szukanie domu do wynajęcia było koszmarem. (…) Zaczynało się

od żądania referencji. Najlepiej – listu od pracodawcy. Gordon dopiero szukał pracy.

Po kilku tygodniach stukania do drzwi, znaleźli coś do wynajęcia w pobliżu. Właściciel był Włochem. Obejrzał ich krytycznie i po konferencji z żoną zgodził się wynająć im dom za 20 dolarów na tydzień. (…)

Dom był potwornie brzydki. „Styl śródziemnomorski" – zaznaczył dumnie właściciel otwierając im drzwi. Była to kwadratowa bryła z płaskim dachem, otynkowana na różowo. Wewnątrz były dwie sypialnie, jadalnia, salonik, łazienka, toaleta, kuchnia i *sleep-out*, czyli pokój na tylnej werandzie, bardzo w australijskim guście. Wszystko było wymalowane jaskrawymi kolorami: żółte ściany, zielone szafki w kuchni, ubikacja fioletowo – bordowa!

Z tyłu domu rozpościerał się „ogród": pełna kurzu pustynia, ogrodzona na wysokość człowieka szarymi płotami z falistych płyt azbestowych. Na środku stało samotne drzewo, bliżej domu „karuzela" do suszenia bielizny, typowy australijski wynalazek, z wyglądu przypominający rozpięty parasol bez pokrycia.

W samą porę przypomniało jej się, jak ktoś kiedyś chwalił jej poczynania jako młodej gospodyni: *Ty potrafiłabyś stworzyć dom nawet w namiocie.* Ha, trzeba będzie się postarać. (…)

Przeprowadzili się następnego dnia. Podstawowe meble kupili w sklepie z używanymi gratami, które w Australii elegancko nazywa się „antykami”. Mary starała się przymknąć oczy na ich brzydotę, ale wiedziała, że nie da się ich pokochać. Ich dom w Szkocji był wytworny i luksusowy w porównaniu z tym, co próbowała stworzyć swojej rodzinie w nowym kraju, w tym wymarzonym kraju przepysznych ogrodów z basenami do pływania, w tym kraju z broszur reklamowych drukowanych na błyszczącym papierze. Nie było miejsca na marzenia, trzeba było starać się przeżyć. (…)

Szybko poznali swoich sąsiadów. Z lewej strony mieszkali Holendrzy, którzy tuż po wojnie przyjechali do Australii prosto z obozu jenieckiego w Niemczech. Byli stosunkowo dobrze sytuowani i mieli dwóch prawie dorosłych synów, kulturalnych, miłych chłopców, dobrze wychowanych i ciężko pracujących. Mary patrzyła czasem na nich i miała nadzieję, że jej synowie za kilka lat też będą tacy.

Naprzeciwko mieszkali Grecy. Czasem uśmiechali się do Mary i zagadywali do niej, ale nie mogła zrozumieć ani słowa. Uśmiechała się więc też i machała przyjaźnie ręką. Ich dom przypominał wiejski domek z ogródkiem pełnym kwiatów. Wszystko tam było czyściutkie i wypielęgnowane. Mary zauważyła, że nigdy nie odzywali się do swoich sąsiadów, tych właśnie Włochów, którzy byli właścicielami domu

wynajmowanego przez Grantów.



Australijscy Aborygeni

Dwa numery dalej, w azbestowym domu na palach (to były niewysokie słupki, na werandę wchodziło się po dwóch schodkach) mieszkała rodzina Aborygenów. Dom należał do państwa, był nieogrodzony od ulicy i straszliwie zapuszczony.

Pewnego ciepłego poranka Mary usłyszała krzyki. W życiu nie słyszała dotąd tak grubiańskich przekleństw. Wyjrzała na ulicę:

przed domem Aborygenów rozgrywała się rodzinna scena. Starsze dzieci z przerażeniem biegały dookoła, dwójka najmłodszych siedziała porzucona w kurzu, a ich rodzice, sczepieni ze sobą i młócący rękami, zażarcie się bili.

Przerażona, Mary pobiegła do Holendrów, ale nie było ich w domu. Zadzwoniła więc na policję, ale po drugiej stronie odpowiedziano jej, że takie awantury odbywają się co tydzień i żeby się nie wtrącała. Nie, policja nie będzie interweniować.

Wkrótce przekonała się, że istotnie, takie bójki stanowiły część stylu życia jej aborygeńskich sąsiadów. Później przekonała się, że na porządku dziennym było wśród nich bicie żon, pijaństwo zarówno wśród mężczyzn jak i kobiet, zastraszenie i zaniedbywanie dzieci. Taka była Australia. Trzeba się było jej uczyć, trzeba się było przyzwyczajać: do dziwnie budowanych domów i do dziwnie mówiących ludzi o szokujących obyczajach. (…)



Okolice Perth w okresie Bożego Narodzenia, fot.likeyouau.blogspot.com

Dziwne były te upalne święta Bożego Narodzenia. Mary nie była specjalnie religijna, jej matka również. Z tradycji rodzinnej – byli wszyscy protestantami, ale Jan był katolikiem i nic to nikomu nie wadziło.

Dla jej dzieci w Australii Boże Narodzenie to były przede wszystkim długie letnie wakacje. W te wakacje dzieci dużo przebywały u dziadków, bo i gdzie indziej? Chłopcy lgnęli do Jana, bo Jan miał też urlop i całe dnie majsterkował w swojej szopce w ogrodzie. Ręce Jana były nadzwyczajnie zręczne. Mary raz zajrzała do tej szopy i zdumiała się ilością nagromadzonych tam narzędzi. Wszystko poukładane w idealnym porządku, tylko

na środku kupa świeżych obrzynków i wiórów. Jan robił jakiś mebel.

Nad miastem wisiał upał. Mary już wiedziała, że nie ma co oczekiwać popołudniowej oczyszczającej burzy, najwyżej lekka bryza od morza przyniesie nieco ulgi nad wieczorem. W nocy nagrzane mury domów i ziemia będą wypromieniowywać ciepło. W takie noce najlepiej było spać na zewnątrz, jeśli człowiek nie bał się moskitów. A w dzień trzeba było kryć się w najgłębszym cieniu werandy, albo – jak robiła to jej matka – zasłaniać okna i siedzieć w półmroku. Gotowanie wewnątrz domu nie wchodziło w rachubę. Pewnie dlatego ludzie wymyślili barbecue. Stało ono na podwórzu, a jego konstrukcja była prosta: metalowa beczka, przecięta na pół wzdłuż pionowej osi, umocowana poziomo na nodze z metalowej rury, przykryta blachą grubą na pół palca. Pod tą blachą Jan rozpalił ogień. Dym szczypał trochę w oczy, toteż reszta rodziny trzymała się na dystans. Wędzenie się przy zasmolonej i zardzewiałej beczce było w Australii ponoć honorową funkcją pana domu. Jan wszedł w tę rolę z samozaparciem. (…)

Słońce chyliło się ku zachodniej stronie nieba. Blacha na barbecue była już prawie nagrzana, kiedy pojawił się Charlie i odsunął Jana od paleniska:

– Ja mam więcej doświadczenia – powiedział. Sięgnął po butelkę

oliwy, chlusnął nią na blachę. Jan ustąpił i poszedł do ogrodu podlewać grządki. Ogród był spory i podzielony na dwie części: warzywnik od tyłu, a z przodu, koło Barbecue, trawnik i kwiaty. To było królestwo Jana. Z dumą pokazał im swoje gospodarstwo już pierwszego dnia. Jan zawsze lubił uprawiać ziemię. Mary pamiętała, że w Kircaldy mieli piękny ogród: truskawki, ziemniaki, kapustę... I króliki. Często ulubiony królik Mary lądował w garnku... Takie jest życie.

Ten ogród wyglądał inaczej: ziemia była mało urodzajna. Ale i tu były truskawki, sporo krzaków pomidorów, pietruszka, pory i kilka ziół używanych do przypraw: majeranek, mięta, małe drzewko laurowe. Była cała grządka melonów i dyń i kilka drzewek cytrusowych: piękne cytryny i pomarańcze jak błyszczące kule.

Barbecue w wykonaniu Charliego było niezłe. Steki nieco przypalone, ale prawie surowe w środku, plasterki cebuli, pieczarki, upieczone w całości krewetki i grube plastry dyni i cukini. Do tego masa kiełbasek, które dzieciaki pochłaniały z zapałem. Popijano wszystko piwem, bo Charlie stwierdził, że to prawdziwie po australijsku: tylko piwo. W dużych ilościach.

Dziwnie zmienił się ten jej „mały braciszek". Mary patrzyła na tego dorosłego mężczyznę i zastanawiała się, czy go jeszcze zna. Myśląc o Charliem zawsze miała przed oczyma tego malca, który

był jej utrapieniem w dzieciństwie. Kiedy Charlie dorósł? Jakoś to przegapiła. Oddaliła się od nich wszystkich, kiedy wyszła za mąż, urodziła swoje dzieci i miała swoje kłopoty. Sandra co prawda bywała jej gościem na wsi, ale Charlie miał już swoje życie. Służył w wojsku, potem się ożenił z Lily, rudą Irlandką, która urodziła mu synka. Klepali biedę, kiedy po wyjściu z wojska nie mógł znaleźć pracy. Miał dobry zawód, był spawaczem, ale stocznia w Glasgow nie potrzebowała nowych ludzi do pracy. Nie gardził żadnym zajęciem, ale zdarzało się, że Mary oferowała mu niewielkie sumy zaoszczędzone z budżetu domowego, żeby mógł na czas opłacić czynsz za mieszkanie. Kiedy zdecydował się jechać do Australii, Mary po raz pierwszy spojrzała na niego z szacunkiem. Więcej, patrzyła wtedy na niego z podziwem. A teraz byli w Australii wszyscy.

Jej bratowa, Lily, siedziała na uboczu, Mary przysiadła się do niej. Lily wyglądała kwitnąco w urodzie swoich trzydziestu lat, kusząco zaokrąglona, pięknie opalona, wypoczęta i zrelaksowana. *Widać po niej, że im się świetnie powodzi* – pomyślała Mary. I powiedziała to głośno. Lily się roześmiała.

– Nie najgorzej, owszem. Charlie znowu zmienił pracę. Za każdym razem dostaje wyższe stanowisko i lepszą pensję, sprytnie to robi.

– A ty nie wybierasz się do pracy?

Lily spojrzała na nią zaskoczona.

– Wiesz, że tu uważa się, że kobieta nie powinna pracować. Nasza Eileen jest jeszcze mała. Zresztą, Charlie zarabia na nas wszystkich. Ale na początku było okropnie – dodała pośpiesznie, jakby chciała zatrzeć niepożądane wrażenie czy też pocieszyć Mary. – Każdy nowo przyjezdny przeżywa to samo. (…)

Część miasta na północ od rzeki była uważana za lepszą, niż część południowa.

*Och, mieć własny dom* – pomyślała Mary. Marzyła o tym, że pewnego dnia będą mieli swój własny dom, niechby nawet z państwowego przydziału. Wszystko będzie lepsze niż to różowe okropieństwo, w którym mieszkają. I nie będzie trzeba znosić tego wścibskiego właściciela, który zawsze chce przeprowadzać inspekcję domu akurat wtedy, gdy Gordon jest w pracy.



Sztuka Aborygenów.

Popołudnie zmieniało się w wieczór. Dzieci rozpakowały prezenty, dorośli siedzieli syci i zadowoleni, kiedy La-la zaczęła znowu wspominać dawne, dobre czasy.  Sandra kręciła się niespokojnie, wyraźnie rada by się wymknąć. Chłopcy słuchali grzecznie. Opowieść wyraźnie miała mieć jakąś wartość pedagogiczną.

La-la zaczęła wspominać światowe życie, jakie pędziła przed śmiercią swego pierwszego męża. Mieszkali w pięknym domu – to prawda, Mary pamiętała coś niecoś – mieli trzy sypialnie i

jadalnię z wielkimi na całą ścianę oknami, był też salonik, duża łazienka z osobną toaletą, wielki przedpokój, wygodna kuchnia… A w salonie zbierało się czasem dobre towarzystwo – *bo wasz dziadek był biznesmenem i obracał się w wysokich sferach. Miał wielu znajomych artystów. Spotykaliśmy bardzo sławnych i ważnych ludzi. Podczas Wielkiej Wystawy Imperialnej w Glasgow w 1938 roku wasz dziadek gościł w swoim pawilonie pocztowym Króla i Królową. Gdzieś mam nawet zdjęcie…*

Najgorsze zawsze było zakończenie takich wspomnień:

– Boże, na co mi przyszło?

Mary spojrzała na Jana. Siedział wpatrzony w coś przed sobą, przygarbiony i milczący. Nie powie słowa, słyszał to już tyle razy. Nie będzie się bronił. Nie powie, że Sheila była przecież na dnie, gdy ją spotkał. A może nie wie o tym? Ale dlaczego dzieci mają wierzyć w te kłamstwa? Pogardzać Janem? Za co? Postawiła ze stukiem filiżankę na spodku i bardzo wyważonym, spokojnym i uprzejmym tonem zapytała:

– A czy pamiętasz mamo, jak żyliśmy podczas wojny?

Matka wzruszyła ramionami. Mary parła dalej:

– Jak paliliśmy w piecu starymi płytami gramofonowymi, bo

węgla nie było? Jak trzeba było sprzedać meble, pianino, nasze zabawki? Pamiętasz, co jedliśmy? Toffi robiłaś nam tylko na urodziny i na Gwiazdkę?

Matka zirytowała się.

– Po co wspominać te rzeczy? Potem było lepiej.

– Tak, jak pojawił się Jan.

La-la zwróciła się do dzieci, ignorując córkę:

– Jan był marynarzem…

– Dajcie spokój – wtrącił się Jan.

– I nie umiał po angielsku. Nie miał pojęcia o świecie. Zresztą – nadal nie ma.

Odezwała się w tym momencie Sandra, zmęczonym głosem:

– Mamo, nie mów takich rzeczy. To nieprawda.

– A znacie tę historię, jak pojechał do Londynu? Nie znał mnie jeszcze wtedy.

– To niesmaczne – mruknęła Sandra. Ale Sheili nic już nie mogło powstrzymać.

– Więc, jego okręt stał w Southampton. Jan pojechał pociągiem do Londynu, spotkał tam jakąś miłą blondynkę i spędził u niej trzy dni. Odprowadziła go na Waterloo Station, ale pomylił się i wsiadł w pociąg, który jechał do Walii, a nie do Southampton. Spóźnił się na okręt. Oczywiście stanął przed sądem, bo to była wojna. Tłumaczył się, że wsiadł w zły pociąg, kapitan go pyta, czy pamięta nazwy stacji, przez które jechał. A Jan na to: *Widziałem tylko „Gentlemen", „Gentlemen"*, bo tylko to przez okno widział, jak pociąg stawał na dworcach! – i Sheila roześmiała się złośliwie, a Jan dokończył:

– I siedziałem w areszcie, i zdegradowali mnie, i straciłem 10 szylingów z pensji, a to było wtedy dużo pieniędzy.

Wstał z fotela i wyszedł do ogrodu. W ciszy Mary wyszła za nim. Stał wśród swoich grządek. Trzymał w ręku dużą dynię. Złocistą. Przyglądał się jej. Mary podeszła, położyła głowę na jego ramieniu. Podał jej dynię:

– Chcesz, weź sobie. Piękna, prawda?

– Janie – zapytała Mary cicho. – Na tym okręcie, jak cię zamknęli w areszcie, to o czym myślałeś?

Chwilę milczał, potem zebrał się w sobie i powiedział:

– O Polsce. I o mojej matce.

***

Dla Szkotów Nowy Rok jest ważniejszy niż Boże Narodzenie. W Glasgow gospodynie myją, skrobią i pucują wszystko, co się da. Na spotkanie Nowego Roku należy być czystym. To przekonanie zostało Mary na zawsze.

W Szkocji, kiedy przyszedł wieczór sylwestrowy, ustawiano na stole whisky i kieliszki razem z ciastami: kruchym i owocowym. Aż do północy nie otwierało się żadnej butelki i nie piło się żadnego alkoholu, a po północy każdy gość był mile widziany i podejmowany.

Ten ich pierwszy Nowy Rok w Australii miał wyglądać inaczej: pod zasypanym obcymi gwiazdami niebem, w chłodzie przynoszącym ulgę po upale dnia, w samotności. A butelka whisky była luksusem, na który nie mogli się zdobyć.

Fabryka mebli, w której od kilku miesięcy pracował Gordon, została zamknięta na okres świąt i Nowego Roku – i był to urlop bezpłatny. W spiżarce półki były prawie puste. Mary ze zmartwienia nie mogła spać po nocach. Próbowała bardzo

delikatnie wspomnieć matce o ich finansowych kłopotach, ale jej sugestia pożyczki została pominięta milczeniem. Z Charliem rozmawiała otwarcie i otwarcie powiedział jej:

– Nie mam pieniędzy, ale możecie iść do Biura Opieki Społecznej, oni wam pomogą.

Po raz pierwszy w życiu wybrali się do Urzędu prosić o wsparcie. Straszne było to przeżycie dla nich obojga. Musieli wyjaśniać sytuację. Musieli tłumaczyć, że ich sponsorzy (matka i Charlie) są też w trudnej sytuacji, choć sami nie byli o tym przekonani. Urzędnik na szczęście był pełen zrozumienia i otrzymali pieniądze, dosyć, żeby zapłacić za mieszkanie i kupić żywność.

W tę australijską noc pełną wrzeszczących cykad, kiedy wybiła północ, z pierwszą minutą roku 1968, Gordon otworzył butelkę whisky, wypili za Szkocję i oboje myśleli to samo: *że też diabli nas podkusili, żeby stamtąd wyjeżdżać!*

Nie mieli pieniędzy na bilety powrotne.



Australia, fot. John White.

*Rozdział 4 ukaże się w poniedziałek 10 kwietnia 2017 r.*

---

# Z małego miasteczka w wielki świat

**Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską Boehm o wspomnieniach Normana Boehma**



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem Boehmem, fot. arch. AZB.

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Na początku 2017 roku w

amerykańskim wydawnictwie Hamilton Books wyszły wspomnienia Pani męża Normana Boehma *From a Small Town to the Big World* (*Z małego miasteczka w wielki świat*). Nie każdy pisze wspomnienia, skąd u Normana taka potrzeba zapisywania obserwacji i wydarzeń ze swojego życia?

**Aleksandra Ziółkowska-Boehm:** Trochę było w tym mojej perswazji i pasji do pisania. Od lat mówiłam, że powinien napisać wspomnienia. Norman napisał we wstępie, że „Aleksandra go wciąż zachęcała". Uważam, że każdy z nas ma swoją opowieść i może ją napisać opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest osobne zagadnienie.

**JS-G:** Czy Norman Boehm prowadził regularny dziennik?

**AZ-B:** Nie prowadził dziennika. Zaczął pisać kilka lat temu, gdy byłam ponad rok na stypendium Fulbrighta. Na te stypendia jest zapraszana rodzina, Norman był ze mną. Kupiliśmy drugiego laptopa i zaczął pisać o swoim dzieciństwie, młodości, szkole, studiach, pracy za granicą. Pokazywał mi, zachęcałam, by rozwinął niektóre wątki, i tak się książka powolutku pisała.

**JS-G:** Jaki był dom rodzinny Normana Boehma?

**AZ-B:** Norman był jedynakiem, miał szwedzko-niemieckie korzenie. Jego babcia (Blenda Bergman), przyjechała ze Szwecji, poznała emigranta z Niemiec (Carl Adalberta Boehm), i pobrali się. Ich jedyny syn, Normana ojciec, urodził się w Chicago. Rodzina przeniosła się na Wschodnie Wybrzeże i w niedużym miasteczku w stanie New Jersey urodził się Norman.

**JS-G:** Napisała Pani piękną książkę o słynnej ciotce Normana Boehma, aktorce Ingrid Bergman. Czy w swoich wspomnieniach Norman poświęca jej dużo miejsca?

**AZ-B:** Norman oczywiście przywołuje spotkania ze swoją kuzynką Ingrid (w Polsce nazywano by ją ciocią). Ojciec Ingrid (Justus) i babcia Normana (Blenda) byli rodzeństwem.

W mojej książce *Ingrid Bergman prywatnie* (amerykańskie wydanie ukazało się pod tytułem *Ingrid Bergman and her American Relatives)* cytuję listy Ingrid do jego babci Blendy (ulubionej cioci Ingrid), do jego ojca, i także do Normana. Przywołuję jej wypowiedzi na temat Szwecji, Włoch, Ameryki. Piszę o jej małżeństwach, przede wszystkim, jak wielką pasją było dla niej aktorstwo. Książkę oparłam na rozmowach z Normanem, przeczytałam opublikowane książki na temat wielkiej aktorki, między innymi jej autobiografię (napisaną z Alanem Burgess) *My Story*.

**JS-G:** Co spowodowało, że Norman Boehm zdecydował się na dalszą naukę z daleka od domu?

**AZ-B:** Jego ojciec uważał, że syn powinien wyjechać z małego miasteczka, poznać inne rejony wielkiej Ameryki. Po skończeniu szkoły średniej Norman wybrał studia na Uniwersytecie w Północnej Dakocie. Jechał trzy dni autobusem. Wiele osób okazało mu serdeczność, co zapamiętał na całe życie. Tęsknił za domem, ale – jak pisze – po pierwszej wizycie na święta, cieszył się, że wracał na uczelnię, gdzie miał kolegów, gdzie należał do honorowego studenckiego stowarzyszenia – fraternity: *Alpha Tau Omega (ATO).*

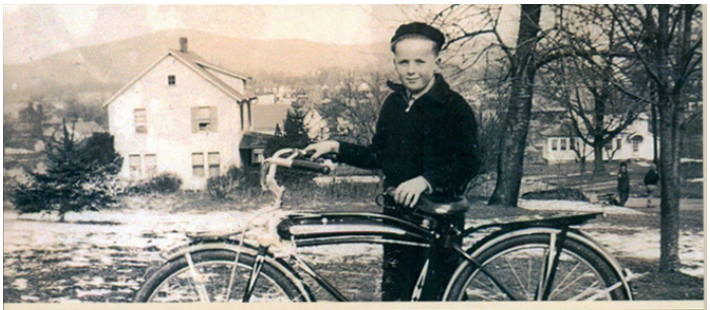

NORMAN BOEHM

# From a Small Town to the Big World

Foreword by Aleksandra Ziolkowska-Boehm







HAMILTON BOOKS

"Norman Boehm's story is a wonderful travelogue that sparkles with insights about a rich life, fully lived, richly detailed, and evocative. This is true whether he is playing the piano (or baseball), meeting with his cousin Ingrid Bergman on the set of *Anastasia*, with Yul Brynner, or punching out a school bully who had insulted his partial German heritage during World War II. He ranges from Saudi Arabia to Poland and Norway, and across the United States. This is a rewarding and engaging reading experience."

—**BRUCE E. JOHANSEN**, Frederick Kayser University Research Professor, Communication and Native American Studies, University of Nebraska at Omaha

"Norman Boehm had an ancestry and upbringing that fully predicted his great talents, achievements, and graces. His book of memoirs provides exceptional breadth and depth regarding the key events which shaped his personal life's journey and the lives of many others. Coincidentally, an excellent summary of my U.S. Air Force career, from young lieutenant to a general in the United States military was written by Norman's wife Aleksandra in her superb book, *The Roots Are Polish*. That book brought me closer to the Polish community in the United States and in Poland; but more importantly, it allowed me to meet, enjoy, and learn from Norman Boehm—one of my greatest pleasures. Norman and I spent many an hour talking about flying. While Norman's personal aircraft was small and light, he was a superb pilot and we spent much time together discussing the techniques and *joys* of flying."

—**DONALD J. KUTYNA**, 4-Star General, U.S. Air Force, Commander-in-Chief, North American Aerospace Defense Command, Commander-in-Chief, United States Space Command, Commander, Air Force Space Command (ret.)

This is a story of a young lad who chose college far away from his small home town of Washington, NJ. He worked in the oil industry for sixteen years in Saudi Arabia, four years in London, England, and three years in Stavanger, Norway. Twenty-three years of exposure to the world's diverse cultures and peoples gave him an unwavering respect and admiration for all citizens of the world.

This book is a recollection of the events, thoughts, and experiences of Boehm's transformative travels abroad. It contains stories of classical piano lessons, learning to fly a small single engine aircraft, and meeting with his distant relative, the world famous movie actress Ingrid Bergman. This memoir honors the remarkable life of a man full of adventure and travel all over the world.

**NORMAN BOEHM** grew up in Washington, NJ, and studied at University of North Dakota following two years in the V-5 U.S. Naval Training Program. His top professional achievement was contract managing the construction of the North Sea oil rig installations of North Cormorant.

HAMILTON BOOKS
800-462-6420
www.rowman.com

ISBN 978-0-7618-6876-7

**JS-G:** Norman Boehm, po ukończeniu chemii i kolejnych kursów prawniczych, spędził 23 lata poza Stanami Zjednoczonymi – 16 lat w Arabii Saudyjskiej, 4 lata w Londynie i 3 lata w Stavanger w Norwegii zarządzając budową szybów wiertniczych. Na czym polegała jego praca?

**AZ-B**: Był specjalistą od układania kontraktów, które dotyczyły między innymi właśnie budowy szybów wiertniczych na oceanie. W Londynie nadzorował projekt *North Cormorant*, który w historii firmy Exxon jest uważany za „the most successful”,

ukończono go wcześniej niż przewidywano, zmniejszono przewidywany budżet, i nie było żadnych „niespodzianek”.

**JS-G:** Czy mieszkanie w krajach o różnych kulturach miało wpływ na poglądy Normana?

**AZ-B:** Ogromny. Pracowali z nim Arabowie, Palestyńczycy, Norwegowie, Anglicy. Cenił różne kultury i różnych ludzi. Zgromadzony przez niego szacunek dla „innych” został mu na całe życie.

**JS-G:** Norman Boehm miał też pasje – gra na fortepianie i lotnictwo. Jak je realizował?

**AZ-B:** Był pilotem w amerykańskim NAVY, a po latach miał swój nieduży samolot (*aeronca chief*). Bardzo kochał latanie. O tym m.in. rozmawiał z  Donaldem Kutyną, amerykańskim 4-gwiazdkowym generałem, przez wiele lat szefem Air Force, który ma ogromne osiągnięcia. Napisałam o nim w książce *The Roots Are Polish*, ma bowiem polskie pochodzenie.

Jako chłopiec Norman przez osiem lat uczył się gry na fortepianie. Uwielbiał muzykę Chopina (grywał np. „Walc minutowy”), Beethovena, Schuberta, Czajkowskiego. Grywał także popularne melodie, jak “Begin the Beguine”, “Adios”, “Granada”, “My Shawl”…  Do końca życia prawie każdego dnia

grał na pianinie. Cały dom rozbrzmiewał muzyką… bardzo mi tego także brakuje…




Aleksandra Zikowska-Boehm z mężem, podczas spotkania absolwentów szkoły średniej Normana, 1991 r., fot. arch. AZB.

**JS-G:** Proszę opowiedzieć, jak się Państwo poznali.

**AZ-B:** Poznaliśmy się w Stanach, byłam wówczas na stypendium. Wymieniliśmy adresy i zaczęła się korespondencja. Telefonował

co tydzień, kilka razy przyleciał do Warszawy. Niecały rok później w 1990 roku pobraliśmy się. Jest o tym rozdział w książce Barbary Henkel *Bezpieczne związki* (Wydawnictwo Nowy Świat, 2003).

**JS-G:** Czy zdecydowała się Pani na budowanie swojego życia w Stanach Zjednoczonych, właśnie ze względu na Normana?

**AZ-B:** Tak właśnie było – wyszłam za mąż i zamieszkałam z mężem w jego kraju, ale cały czas utrzymywałam i utrzymuję stały kontakt ze swoim. Zwykle dwa w razy do roku bywam w Polsce, ukazują się moje książki, mam ukochaną rodzinę i czytelników. Czeka też na mnie moje nieduże warszawskie mieszkanie, które bardzo lubię.

**JS-G:** Jak pamiętam, Norman Boehm uczestniczył w Pani pracy, był zainteresowany polską historią, kulturą i reagował, gdy Polska, czy Polacy byli niesprawiedliwie oskarżani.

**AZ-B:** Reagował pięknie. Zabierał głos, gdy ukazywały się krzywdzące Polskę artykuły. Pisywał listy do redakcji pism, w których pojawiały się różne pomówienia. Włączył się także w akcję przekonywania amerykańskich senatorów do przyjęcia Polski do NATO. (Po śmierci Normana pięknie napisała o tym Anna Bernat dla PAP-u). W książce Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006, red. Dobrosława Platt,

wstęp Jerzy Koźminski), są zamieszczone jego listy do senatora Joe Bidena (późniejszego wiceprezydenta), do senator Kay Bailey Hutchinson.  Norman stał się niemal „polskim patriotą”. Bardzo mnie to ujmowało i było ważnym aspektem w naszym wspólnym życiu.

**JS-G:** Dzięki Pani pasji i pracy życie Normana stało się bogatsze o inną kulturę, którą pokochał jak swoją. Przyjeżdżał z Panią do Polski i Polskę poznał.

**AZ-B:** Bardzo lubił i cenił Polaków, uważał nasz naród za serdeczny, patriotyczny. O naszej historii dużo się ode mnie dowiadywał, bardzo miał piękne podejście do Polski. Żartuję czasami mówiąc, że nie znał polskiego, a ja nie tłumaczyłam mu różnych „polskich sporów”. Gdy pracował, przylatywał do Polski na krótko, zwykle dwa razy w roku. Gdy przeszedł na emeryturę – lecieliśmy oboje na siedem – osiem tygodni do Polski. Bywał na moich spotkaniach autorskich, lubił moją rodzinę, przyjaciół. Doskonale się w Polsce czuł. Wygłosił wykład na Politechnice Łódzkiej na temat etyki zawierania kontraktów. Jeździliśmy w różne miejsca, pokochał Zakopane. Z zabawnych anegdot opowiem jedną. W Zakopanem byliśmy na Gubałówce z Michałem Radgowskim, felietonistą „Polityki”. Norman patrzył na panoramę gór pełen zachwytu. – Powiedz mu, że to są góry słowackie – powiedział Michał. – A po co?… Niech podziwia i myśli, że polskie – odpowiedziałam. Radgowski tak był

zaskoczony, że napisał o tym w felietonie.



Norman Boehm i Michał Radgowski w Zakopanem, fot. arch. AZB,

Gdy lecieliśmy oboje, towarzyszyła nam nasza kotka Suzy, a potem też drugi kot. Koty także dobrze się czuły w Warszawie (napisałam książkę *Podróże z moją kotką*, która miała też amerykańskie wydanie *On the Road with Suzy from Cat to Companion*). Z naszą Suzy odwiedzaliśmy np indiańskie rezerwaty.

**JS-G:** Wspomnienia Normana Boehma zostały opatrzone ciepłymi refleksjami jego przyjaciół, m.in. przywoływanego wcześniej generała polskiego pochodzenia, dowódcy Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej, Donalda J. Kutyny, czy Bruce'a E. Johansena, profesora na University of Nebraska. Pamiętam, że Norman miał też dobre relacje z Joe Bidenem, senatorem z Delaware, wiceprezydentem w rządzie Baracka Obamy. Czy dużo miejsca we wspomnieniach zajmują bliscy mu ludzie i przyjaźń?

**AZ-B:** Norman pisze o kolegach ze szkoły podstawowej, średniej, studiów, pracy, rodzinie. Napisał, jak zachwycił się Europą, po pierwszej pierwszej podróży na ten kontynent, jak inaczej przedstawiano ją w Stanach.

Napisałam do jego książki wstęp – między innymi jakim był człowiekiem prywatnie. Zacytowałam jego – naszych przyjaciół, m. in. znanego Indianina z Montany. Oboje z Normanem jeździliśmy do obu Dakot, Montany, wspieraliśmy szkoły indiańskie (St Labre, St Joseph i Red Cloud Indian School), Crazy Horse Memorial w Południowej Dakocie (gdzie przed laty mój stryj Korczak Ziółkowski zaczął rzeźbić w skałach wodza Crazy Horse). Norman jest obecny w mojej książce indiańskiej *Otwarta rana Ameryki* (amerykańskie wydanie *Open Wounds A Native American Heritage*).



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem Boehmem, fot. arch. AZB.

**JS-G:** Norman odszedł w maju 2016 roku. Czy przygotowywanie wspomnień do druku było dla Pani terapią?

**AZ-B:** Tak, praca nad wspomnieniami była swoistą terapią i swoistym ukojeniem. Żałuję, że Norman nie doczekał decyzji amerykańskiego wydawcy, że książki już nie zobaczył.

**JS-G:** Czym dla Pani było dwadzieścia sześć lat życia z mężem Normanem?

**AZ-B:** Gdy się spotkaliśmy obydwoje byliśmy dojrzałymi ludźmi, umieliśmy docenić każdy wspólny dzień. Myślę, że w młodości często jesteśmy zapalczywi, niecierpliwi, wymagający. Oczekujemy więcej niż sami jesteśmy gotowi dać. Na wszystko trzeba dojrzałości. Z pokorą mogę powiedzieć, że nasze małżeństwo to był dar od Pana Boga.

---

**Normana Boehma wspominają Bruce E. Johansen i Donald J. Kutyna.  Głosy wydrukowane na tylnej stronie okładki:**

*Norman Boehm's story is a wonderful travelogue that sparkles with insights about a rich life, fully lived, richly detailed and evocative. This is true whether he is playing the piano (or baseball), meeting with his cousin Ingrid Bergman on the set of Anastasia, with Yul Brynner, or punching out a school bully who had insulted his partial German heritage during World War II. He ranges from Saudi Arabia to Poland and Norway, and across the United States. This is a rewarding and engaging reading experience.*

**BRUCE E. JOHANSEN,** Frederick Kayser University Research

Professor, Communication and Native American Studies, University of Nebraska at Omaha.

***

*Norman Boehm had an ancestry and upbringing that fully predicted his great talents, achievements, and graces. His book of memoirs provides exceptional breadth and depth regarding the key events which shaped his personal life's journey and the lives of many others. Coincidentally, an excellent summary of my U.S. Air Force career, from young lieutenant to a general in the United States military was written by Norman's wife Aleksandra in her superb book, „The Roots Are Polish". That book brought me closer to the Polish community in the United States and in Poland; but more importantly, it allowed me to meet enjoy, and learn from Norman Boehm — one of my greatest pleasures. Norman and I spent many an hour talking about flying. While Norman's personal aircraft was small and light, he was a superb pilot and we spent much time together discussing the techniques and joys of flying.*

**DONALD J. KUTYNA,** 4-Star General, U.S. Air Force, Commander-in-Chief, North American Aerospace Defense Command, Commander-in-Chief, United States Space Command, Commander, Air Force Space Command (ret.)

***

*Over the years i had the pleasure of conversing with Norman on a variety of topics we both found interesting, and even some that I didn't know I had an interest in until Norm brought them to life. Norm had this impressive ability to stitch together many separate and distinct conversations from the one at hand, and tie them all back together to form the fabric for another opportunity to better understand the world we live and navigate in. Norm was worldly, well-traveled, and deeply informed in a number of subject areas. Yet in all his wisdom and knowledge, he was above all else, kind, caring, non-judgmental and an appreciative soul, of the world, its inhabitants, and the cultures they express. In particular his keen interest in Native American cultures of the Northern Plains Tribes was filled with compassion, admiration, and respect for our people and our dedication to maintaining our cultural values in this fast changing world.*

**RODNEY TRAHAN**, Member of the Northern Cheyenne Tribe, Board Member for Partnership with Native Americans.



Filadelfia 2000 r. Od lewej: Barbara Wachowicz, Norman Boehm i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. arch. AZB.

**Wydawnictwo:**

https://rowman.com/ISBN/9780761868767/From-a-Small-Town-to the-Big-World